



ELŻBIETA BARSZCZEWSKA

W SZTUCE CZECHOWA „WUJASZEK WANIA” WYSTAWIONEJ PRZEZ TEATR KAMERALNY W WARSZAWIE

Fot. A. F. Kaczkowski C. O. P. A.

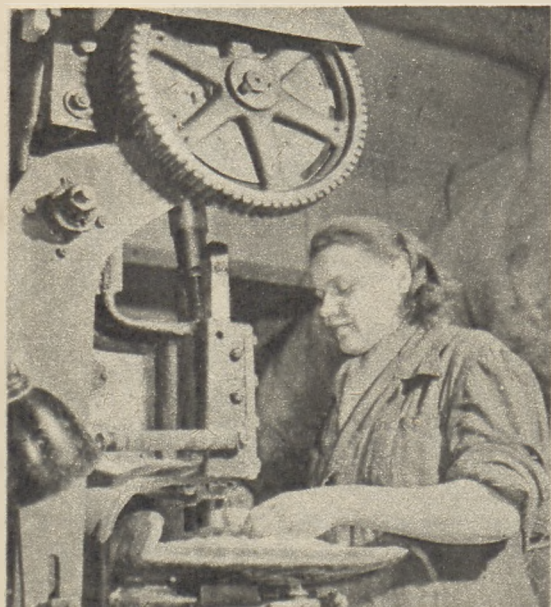
W PIĄTĄ ROCZNICĘ ROZGROMIENIA SPISKU REAKCJI



CTK

Naród czeskosłowacki obchodzi w lutym piątą rocznicę rozgromienia przez lud pracujący spisku kapitalistów i obszarników. W walce z reakcją przewodził wówczas przewodniczący KPCz Gottwald

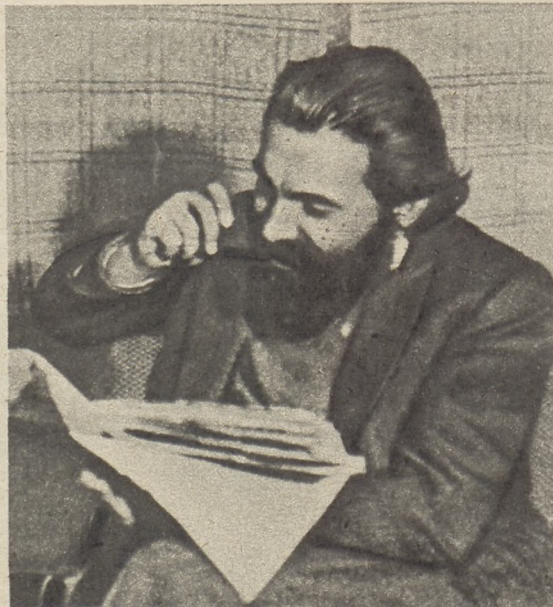
O LIKWIDACJĘ „WĄSKICH GARDEŁ”



CAF

I. Soból z f-ki porcelany „Turońsk” wyrabia 130% normy walcząc o likwidację „wąskich gardeł”, które hamują terminowe wykonanie planów.

ROZCHNICA URODZIN JULIUSZA FUCZIKA



CAF

W Czechosłowacji obchodzona jest 50 rocznica urodzin zamordowanego przez gestapo bojownika o postęp i pokój — Juliusza Fuczika.

NAJLEPSZY ZESPÓŁ WARSZAWSKIEGO MHD



CAF

Za najlepsze wyniki we współzawodnictwie pomiędzy przedsiębiorstwami MHD w Warszawie sztandar przechodni otrzymało Przedsiębiorstwo Handlu Artykułami Spożywczymi MHD — Praga.

OBRADY FIR-u



CAF

W Warszawie obradowało Biuro Międzynar. Federacji Bojowników Ruchu Oporu, b. Więźniów Politycznych i Ofiar Faszyzmu (FIR).

WYSTĘP „MAZOWSZA” W URSUSIE



CAF

W Zakładach Mechanicznych „Ursus” odbył się występ zespołu pieśni i tanca „Mazowsze”. Robotnicy obdarzyli artystów kwiatami.

SUKCESY HODOWLANE W ZSRR



CAF

Kolchoz „Wola Proletariacka”, który uzyskuje miliony rubli rocznego dochodu z hodowli bydła, posiada własny punkt weterynaryjny.

W najbliższych numerach „ŚWIATA”
rozpoczynamy druk opowiadania

HOWARDA FASTA

TOMEK I JEGO ZACZAROWANA FURTKA

w tłumaczeniu JÓZEFA BRODZKIEGO
z ilustracjami OLGII SIEMASZKOWEJ

OFIARY SĄDOWEGO MORDERSTWA



Prezydent Eisenhower odrzucił prośbę o ulaskawienie fałszywie oskarżonych i skazanych na śmierć przez sąd amerykański bojowników o pokój — małżeństwa Rosenbergów. Na zdjęciu: dzieci Rosenbergów — 9-letni Robbie i 5-letni Michael.

ZBRODNIARZ WOJENNY MINISTREM FRANCJI



UFP

W ostatnim gabinecie francuskim ministrem zdrowia został znany kolaborancista Routhemy (po lewej). Prasa postępową opublikowała liczne listy osób, które w czasie okupacji zostały zadenuncjowane do gestapo przez ministra-zbrodniarza.

ROSNIĘ OPIEKA NAD DZIECKIEM



CTK

110 dzieci korzysta z przedszkola przy Zakładach Przem. Lniarskiego w Olbrzychowicach.

POLSKIE ŚWIĘTO W PARYŻU



Polonia francuska zorganizowała w Paryżu szereg wesołych imprez dziecięcych z okazji Święta Dzieci Polskich

SWIAT

NASZA KRONIKA

O GLĄDAŁEM kiedyś radziecką, filmową, kolorową kreskówkę dla dzieci, poświęconą pokazaniu młodocianym widzom, jak to nauka realizuje najbardziej fantastyczne marzenia. Czymże innym jest dzisiejszy samolot, jak nie dawnym bajkowym dywanem latającym? Czym radio, jak nie cudownym echem, przenoszącym głos ludzki poprzez przestrzenie setek i tysięcy kilometrów? Fantastyka bajek czymże innym, jak nie wyznaczeniem dążeń niespożytej, niezłomnej, wytrwałej myśli ludzkiej?

Uświadomić sobie musimy, iż Kopernik i na pół legendarny mistrz Twardowski to byli współcześni, rówieśnicy, dzieci tego samego wieku XVI. Ludowy bohater — pan Twardowski fruwał na kogucie, wyznaczając, jak wielu innych bohaterów legend, podać i bajek wielu narodów, dążenie człowieka do przezwyciężenia swego ciężaru i do poruszania się w powietrzu. Zwyciężywszy zło w jego średniowiecznym symbolu, w postaci diabła, osiada Twardowski na księżycu, gdzie go dziś jeszcze w pierwszej czy ostatniej kwadrze obdarzeni większą wyobraźnią dostrzec mogą, jak dziarskiego węża podkręca, a może i do nas życzliwie mruga.

Gdy odcyfrujemy właściwie legendę o panu Twardowskim wraz z jej księżycowym zakończeniem, czyż nie spostrzeżemy łatwo, że wyraża ona dążenia swojej epoki, gdy ludzie, głowy uniósłszy w góry, mózgi wylamując spod scholastycznych dogmatów, rozstrzygnąć pragnęli zagadkę wszechświata na płaszczyźnie nauki. To, co wyrażał w podaniu ludowym, w gadce ludowej pan Twardowski, realizował, odkrywając prawa przyrody, Mikołaj Kopernik. To dwaj rówieśnicy, wyrażający te same dążenia w różny sposób.

Wydaje mi się, że kiedy ta komunikacja międzyplanetarna w wieku XX czy w następnym, XXI, zostanie zrealizowana, nasz „Orbis“ międzyplanetarny powinien uczcić nazwaniem jakichś ważnych stacji na rozłogach systemu słonecznego obydwoma tymi imionami: i Kopernika i Twardowskiego.

AŻ dziwne czasami, jak bajka, jak sztuka pokrywa się z rzeczywistością, którą poprzedziła o dziesiątki, a nieraz i setki lat. Na przedstawieniu sztuki Czechowa „Wujaszek Wania“ w warszawskim Teatrze Kameralnym, jakby iskra elektryczna przebiegła przez widownię, gdy jeden z czołowych bohaterów dramatu, Aśtrow, mówi:

„Lasy rosyjskie trzeszczą pod siekierą, miliardy drzew giną, legowiska zwierząt i gniazda ptasie pustoszeją, rzeki pływają i wysychają, cudowne krajobrazy nikną bezpowrotnie... Może to dziwactwo, ale kiedy mijam chłopskie lasy, które uratowałem od wyrębu, albo kiedy słyszę, jak szumi młody, własnoręcznie przeze mnie zasadzony las, uświadamiam sobie, że klimat jest po trosze zależny także ode mnie i że jeżeli za tysiąc lat człowiek będzie szczęśliwy, to będzie w tym też odrobinę mojej zasługi...”

Z tym wszystkim Aśtrow to nie niefortunny wstecznik, pragnący powrotu do życia w puszczy, ale prawdziwy człowiek postępu.

„Powie pani — zwraca się do kobiety, którą kocha — że stare musiało z konieczności ustąpić miejsca nowemu. Tak, rozumiałbym to, gdyby na miejscu tych wytrzebionych lasów przebiegały szosy, koleje żelazne, gdyby tu były fabryki i szkoły — wówczas lud stałby się zdrowszy, bogatszy, mądrzejszy...”

Tak wołał przed laty sześćdziesięciu mądry Rosjanin, przeczuwający epokę, która da Rosji i fabryki, i szkoły, i szosy, i koleje, a jednocześnie zadba o to, co miłością otaczał Aśtrow — o lasy rosyjskie, aby nie wysychały rzeki, aby zmieniał się nie na gorsze, ale na lepsze klimat Rosji. Zdumiewa się widzieć współczesny, że stary pisarz Czechow tak wspinał się umiał przewidzieć rozwój wydarzeń. Wielcy pisarze, artyści, myśliciele, uczeni wyprzedzali często swymi myślami i pomysłami rozwój społeczny. Czyż i u nas Judym Żeromskiego nie wołał o podobne zmiany, o jakie walczył czechowowski Aśtrow.

WTEJ perspektywie widać jasno, iż marksizm-leninizm nie wymyślił jakichś fantastycznych potrzeb ludzkich — jak to chcą utrzymywać jego wrogowie — ale przeciwnie, śmiało podjął wszystkie najsłabsze myśli i projekty ludzkie, biorąc na siebie trud ich realizacji. To klasa robotnicza stała się tą siłą, która zdołała marzenia Aśtrowów, Judymów, Czechowów i Żeromskich, setek bohaterów literatury i setek jej twórców, przenieść na realne plany architektów, inżynierów i konstruktorów. Z tej żywej więzi, łączącej budowniczych socjalizmu i komunizmu z najsłabszymi, najmądrzejszymi jednostkami przeszłości, wyrasta ów związek nasz z przeszłością, to jest ta tradycja, którą szanujemy i kochamy i która nas wzbogaca. Socjalizm i komunizm to nie zaprzeczenie dotychczasowych dziejów ludzkości, ale przeciwnie — ich jedynie logiczny, słuszny i sprawiedliwy rozwój.

A próba zaprzeczenia, próba splugawienia, zaprzeczania wszystkich marzeń ludzkich jeszcze żyje i istnieje. Nazywa się ona imperializmem. To jest ta siekiera, którą zagrozić chcą ludzie dnia wczorajszego lasom Aśtrowa, szumiącym dziś i kwitnącym z woli Stalina. To jest ten materiał wybuchowy bomb mających zburzyć szklane domy Żeromskiego rosnące murami nowej Warszawy.

Jakże dumni być możemy, jakże dumni jesteśmy, że żyjemy w takiej epoce takiej walki. To na nas czekał Czechow i Żeromski! To do nas woła z kart książek i ze sceny Judym i Aśtrow byśmy realizowali ich dążenia, będące dążeniami ludów. To nam dał nakaz ginący przed dziesięć laty w gestapowskim więzieniu Juliusz Fuczik:

— Ludzie, kochałem was! Bądźcie czujni!

JAN SZELAĞ

NASZEJ WIELKIEJ PRAWDY

23 LUTEGO TRZYDZIESTOPIĘCIOLECIE ISTNIE

U nas kochają armię, szanują, troszczą się o nią. Dlaczego? Dlatego, że po raz pierwszy w dziejach świata robotnicy i chłopci utworzyli swą własną armię, która służy nie panom, lecz wczorajszym niewolnikom, dziś wyzwolonym robotnikom i chłopom. Oto gdzie jest źródło siły naszej Armii Czerwonej. A cóż oznacza miłość narodu do swej armii? Oznacza to, że armia taka posiadać będzie potężne zaplecze, że armia taka jest niezwyciężona.

1928

JÓZEF STALIN

Armia Radziecka i Marynarka Wojenna osiągnęły poważne sukcesy w wyszkoleniu bojowym i politycznym. Jednakże żołnierze i dowódcy naszych Sił Zbrojnych, wierni tradycjom ludzi radzieckich, nie poprzestają na osiągniętych rezultatach, lecz sumiennie, wytyżając siły uczą się sztuki wojennej i stawiają sobie za zadanie dalsze podniesienie gotowości bojowej...

1948

N. BULGANIN

Nasza armia, nasze lotnictwo i nasza flota rozporządzają pierwszorzędną nowoczesną techniką wojсковą. Ale my nie pobrzękujemy szabelką. Potęga nasza nie zagraża nikomu, prócz tych, którzy chcą dokonać zamachu na naszą pokojową pracę.

1952

S. SZTEMIENKO

Nasz lud pracujący... może bez obaw spoglądać w przyszłość — obronę ma wspaniałą — nie tylko dlatego, że ma dobre bagnety, ale głównie dlatego, że ją uzbrojono w niezwyciężoną prawdę.

1928

MAKSYM GORKI

Zwróciliśmy Polsce piękno Wawelu, grobowce Mickiewicza i Słowackiego. Walczyliśmy o wolność Pragi już po tym, jak na Zachodzie odświętowano zwycięstwo... I jeśli dom w Weimarze, gdzie wielki starzec umierając zawołał „Więcej światła!“, będzie i po wiekach przyciągał wędrowców — to dlatego, że Czerwona Armia zniszczyła mrok...

1945

ILJA ERENBURG

Polityka i ideologia faszystowska rządów pilsudczyzny — poprzez ich sojusz z agresywnymi państwami faszystowskimi — doprowadziła kraj do zguby, oddając go na pastwę hordom hitlerowskim. Z katastrofy tej wydrżwięło dopiero Polskę historyczne zwycięstwo Armii Radzieckiej. Wyzwolenie narodowe i społeczne, osiągnięte dzięki temu zwycięstwu, otworzyło nową epokę w dziejach narodu polskiego.

1951

BOLESŁAW BIERUT

Bohaterowie Armii Czerwonej. Pozdrawiamy was z głębokiego podziemia. Pozdrawiamy tych, którzy z niespotykanym męstwem i poświęceniem walczą o wolność swojej ojczyzny, i tym samym... o wolność wszystkich ujarzmionych narodów Europy.

1948

JULIUS FUCIK

...żołnierze Wolgi, którzy śmierć zwyciężyli, dzieci Stalingradu, siła Ukrainy, ogromna i wyniosła z kamienia ściana i z krwi, z żelaza i pieśni, z męstwa i nadziei.

1949

PABLO NERUDA

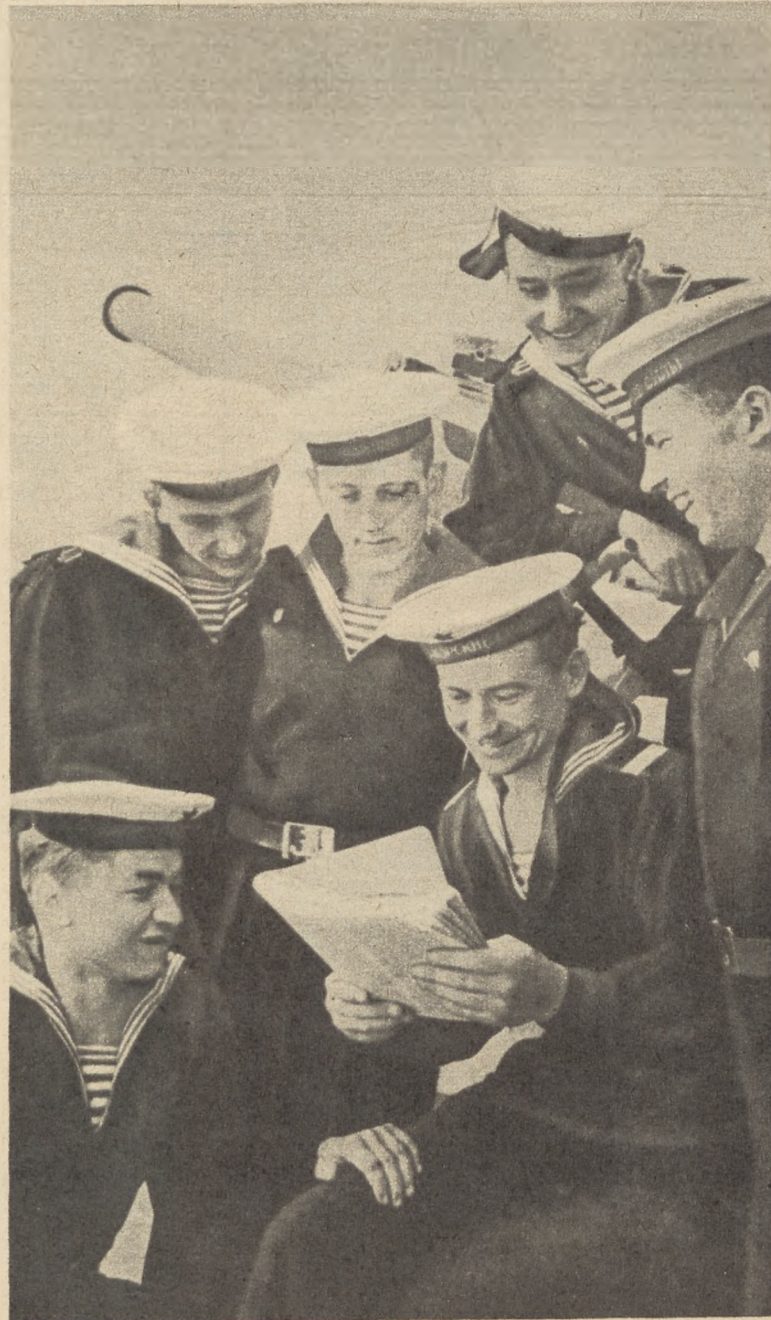
...Nie u Moskwy wrót — u bram Brandenburskich walczą twój walczą moi walczą świata ludzie uczciwi naszej wielkiej prawdy żołnierze.

1945

NAZIM HIKMET



RADZIECKIE CZOŁGI, KTÓRE W OSTATNIEJ WOJNIE NIOŚY WOLNOŚĆ NARODOM EUROPY, DEFILUJĄ



Po całodziennych ćwiczeniach na morzu Barentsa — nowele Czechowa.

ALEKSANDER TWARDOWSKI

Z ROZDZIAŁU: „NA POSTOJU“

RZEDEM już żołnierze śpią.
Twardym snem zwaleni.
Wartownicy z zimna drżą,
Krążą przemoczeni.
Ciemna noc. Zateśkni żołnierz:
Co się w domu dzieje?
Nagle sobie coś przypomniał
I poweseleje.
Spojrzyś — a sen pierzchnął gdzieś,
Przeгнаł śmiech, ziewanie.
— Jak to dobrze, Tiorkin, żeś
W naszej jest kompanii.
Tiorkin — to właściwie kto?
Szczerze tu stwierdzamy:
Zwykły sobie chłopak to,
Jakich wielu mamy.
Zresztą chłopców takich dość
Znamy dziś, a jakże:
I w kompanii to nie gość,
I w plutonie także.
Powiem krótko, jeśli chcesz,
Za co był ceniony,
Choć urodą przecież też
Nie był obdarzony.
Nie był mały, ani duży,
Ale bohaterem był
Wojsko znał, już nieraz służył,
W wojnie fińskiej sobie użył, —
Mocno wtedy wroga bił.



Z ROZDZIAŁU: „O WOJNIE“

KRÓTKO, jasno, wam bym rad,
Zakomunikować:
Do dziewięćdziesięciu lat
Pragnę się uchować.
Lecz gdy wojna — nie narzekaj,
Zapomnij o troskach,
Chcesz iść w długą drogę — czekaj,
„Wróć!“ — wydano rozkaz.

ŻOŁNIERZE NIA ARMII RADZIECKIEJ



W DNIU ŚWIĘTA PRZED MAUZOLEUM WŁODZIMIERZA LENINA W MOSKWIE.



Cwiczenia polowe piechoty. By móc skutecznie bronić pokoju świata i ojczystej ziemi żołnierze Armii Radzieckiej nieprzerwanie podnoszą swą wiedzę wojskową.



Przez zaśnieżone pola mknie patrol narciarski.. Hasło: każdy żołnierz jeździ na nartach, pływa i wiosłuje — jest w całej pełni realizowane w Armii Radzieckiej.

Wasył Tiorkin

FRAGMENTY POEMATU

Na nas obowiązek spadł,
My odpowiadamy
Za nasz lud, ojczyznę, świat,
Za burzliwe zmiany.
Iwan, Foma, ja czy ty,
Młody, czy też stary,
Razem wszyscy dziś — to my:
Rosja. Twardy naród.



Z ROZDZIAŁU: „DWAJ ŻOŁNIERZE”

GWARZA sobie dwaj żołnierze,
Zartów sypiąc cały wór,
Po żołniersku, prosto, szczerze
Gorączkowy wiodą spór.
Aż zawrzało w dziadku: — Chwalisz
Wciąż walonek swe, a wcale
Nie wiesz jaki mają brak...
Dobre są? A suszyć jak?
Nasiakają. But gdy zrzuć
To go w mig wysuszę sam.
Daj sukienne mi onuce,
Wtędym — całą gębą pan.
Rozmawiają tak z humorkiem.

Słyszą: znów gdzieś pocisk spadł.
Nawet nie drgnął Wasył Tiorkin,
Nawet nie drgnął stary dziad.

— A więc gadaj, na sumienie,
Nie masz co przede mną kryć,
Naturalnie punkt widzenia
Tu wojskowy musi być.
Powiedz mi, czy wróg się daje
Pobić, czy też może nie? —
— Czekaj, ojciec, wpierv się najem,
Zawsze lżej, gdy człowiek zje. —
Wziął zakąskę, jadł dostojnie,
Do ust chleb z szacunkiem kładł
Z taką gracją, tak dostojnie, —
Spojrzyś — też byś zaraz jadł.
Gdy już miska była pusta,
Nagle jakby podrośł — wstał,
Wyjął chustkę, otarł usta
I z podbródka resztki stał.

Wytarł ręce — tak wypada —
I z godnością skłonił się
W stronę babę, potem dziada,
Jak to stary zwyczaj chce.
Płaszcz poprawił (źle przylegał,
Bowiem się przekrzywił pas),
Znów się skłonił: „Jak tam zegar?”
Spojrzał: idzie cały czas.
Wszystko sprawdził, dopasował
I, już przekraczając próg,
Wyrzekł wreszcie mocne słowa:
— Da się, ojcie, pobić wróg. —
W polu zamieć, zawierucha,
Wojna grzmi na cały świat.
W izbie grzeje się starucha
I gospodarz — stary dziad.
Poprzez Rosję ukochaną
Naprzód, w zamieć śnieżną idź!
Poszedł, wiatrem kołysany,
Wasył Tiorkin wroga bić.



Z ROZDZIAŁU: „O MIŁOŚCI”

WSZYSCY, co na wojnę szli,
Każdy prawie żołnierz
O najdroższej swojej śni
Kiedy jest na wojnie.
Ona — gdy się żegna z nim
Coś na drogę daje...
A im dłużej bez niej — tym
Drozsza mu się staje.
I jest droższy tamten czas
Tych jedynych wspomnień,
I ostatni oczu blask, —
Spróbuj go zapomnieć!
Nie zostawisz w drodze swej,
W głupiej sławy cieniu,
Tej miłości, którą tchnie
Czułe jej spojrzenie.
Utajone w każdym z nas,
Bezcenne, szalone,
Trwałe, mocne jest, jak głaz
I nienaruszone.
Żyjesz wciąż spojrzeniem tym,

Pieścisz je z ostrożną,
I z towarzyszą nim
Dzielić się nie można.
Ciepłem nam ogrzewa twarz,
Wiem — należy do mnie.
Ty je także przecież znasz,
Pomyśl, proszę, wspomnij...



Z ROZDZIAŁU: „NAD DNIEPREM”

ZOSTAWIAJĄC roześmiane
Babie lato — złote, ciepłe,
Wojska szły — i wtem nad ranem
Bój rozpoczął się nad Dnieprem.
Może kiedyś ujrzy człowiek,
Oczyszczając rzek koryta,
To, co skryła woda w sobie, —
Woda czarna, niezdobyta...
Znajdzie w mułu sennych kłębach,
Z mgły wywlecze rybkiej, czarnej —
Jak pnie wielkich morskich dębów —
Lufy haubic, dział i armat.

Nie powróci straszny orkan,
Wolna już ojczyzna nasza...
— Bracie mój, Wasył Tiorkin,
Co to, płaczesz?... —
— Nic, przepraszam... —

Z ROZDZIAŁU: „OD AUTORA”

KSIEŻYC świeci, noc pogodna,
Czarka wychylona do dna...
Tiorkin! — Wojnie kres! Dość przelał
Człowiek krwi na ziemskim globie.
I jak gdyby, przyjacielu,
Postarzelismy się obaj.
I jak gdyby ogłuszony
Ciszą, co nad światem zwisa,
Umilkł autor zawstydzony,
Co na wojnie przywykł pisać.
Cóż w tym złego? Pieśń ta dla nas
Jest widocznie dośpiewana.
Inne nam potrzebne słowa,
Pieśń się zrodzi z czasem nowa.



Wojny szmela: dno statku śliskie,
Lina z drutu w płasku miękkiem,
I siekiera bez styliska,
Którą saper trzymał w ręku.
Może ktoś tam, kiedyś — kto wie? —
W czasach spokojniejszych, lepszych
O siekierze tej opowie
W sławnej pieśni swej o Dnieprze.

Leśna moja matko-ziemio,
Smoleńszczyzna moja bliska,
Ty mi przebac, — za co, nie wiem,
Ale przebac mi za wszystko.
Nie wśród pól, na placu boju,
Nie w niewoli ciężkiej, krwawej,
Lecz w zapleczu, ziemi moja,
Tiorkin ciebie pozostawia.

Nie, nie taka myśl tajemnie
Wymarzona żyła we mnie,
Gdy na wojnie wśród spalonych
Chat — przy drogach zagubionych —
Czy pod wozem, czy na wozie,
Mokrym płaszczem swym okryty,
(Gdym zębami wściekle ścigał
Rękawicę swą na mrozie) —
Wpisywałem do zeszytu
Wiersze moje rozrzucone.
Wciąż marzyłem o tym cudzie
Wierszy, w których radość krzepła,
By na wojnie — w boju ludziom
Przynosiły trochę ciepła.
By żołnierza mogły chronić,
Zagrzać w jakiejś złej godzinie,
Tak jak zdarta ta harmonia,
Która czasem się nawinie.
(1941 — 1945).

Przełożył WŁODZIMIERZ BORUŃSKI



Członkowie nowozałożonej spółdzielni w Marszewie w rozmowie z Pawlakiem (w głębi), członkiem doświadczonej spółdzielni w Śliwnie, sekretarzem organizacji partyjnej

SZEROKA DROGA

KAMILA CHYLIŃSKA — Zdjęcia: W. SŁAWNY

SNIEG taje na polach i jeśli woda nie odpłynie, rozlewiska mogą grozić zasiewom, a najwięcej zielonce.

Rymarz z Marszewa trapi się bardzo. Chłop jak dąb, co siedząc na ławie wśród swych gości, przerasta ich o głowę, a kiedy wstaje musi się schylić, żeby we drzwiach się zmieścić.

Bo co będzie jeśli zgnije zielonka? Czym by było nakarmić? Paszy nie zrobisz z powietrza, a krowa — wiadomo — nie da się oszukać.

Nie jedyna to troska spółdzielców z Marszewa. Spółdzielnia powstała zaledwie w grudniu i tyle jest rzeczy niewiadomych, tyle spraw niepewnych, że coraz jedno zmartwienie przychodzi drugie. Raz najważniejsza wydaje się zielonka, żeby za chwilę ustąpić miejsca obawie o chlewnię, to znów nad wszystkim góruje lęk o plan dostaw mleka, to

dreńczy niepewność, czy starczy rąk do pracy.

U NAS Z POCZĄTKU BYŁO TAK SAMO

Przybył dziś do nich gość i opiekun, Stanisław Pawlak, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej z pobliskiej spółdzielni w Śliwnie. Patrzą nań pytająco, jakby mu chcieli z oczu wypatrzeć radę na wszelkie strapienia. Na chlewnię i zielonkę, na mleko i ręce do pracy. Przysłuchują mu się z uwagą, nie dlatego wcale, że gdy Pawlak tchu w płuca zaczerpnie, to mówi płynnie, bez zająknięcia — ale dlatego, że jego słowa nie ulatują z poświstem zimowej zawiei, jak obiecanki-cacanki jakichś tam jednodniowych doradców, lecz mocno trzymają się prawdy, tej co jest w Śliwnie, blisko, o cztery kilometry stąd.

Pawlak pobudzony kredytem zaufania powiada cicho, lecz bardzo pewnie:

— U nas z początku było tak samo. Tak samo mieliśmy tysiąc trosk. A co do tej zielonki, to i u nas niedawno jeszcze woda zalewała pola i drenami nie chciała odchodzić. Ale dostaliśmy pomoc, wykopano głęboki rów i teraz woda spływa równiusieńko. Naturalnie, musimy go pilnować, bo na przykład w Turkowie ten sam rów ciągnie się dalej, ale zarósł leszczyną, Nikt nie wycina krzewów, więc woda znów stoi na polach.

NIE CHUCHA SIĘ NA DZIESIĄTE DZIECKO

Żona wielce poważanego gospodarza Szymczaka, nazywana „Szymczaczka”, pilnie słuchała słów przybysza. Wydeła i tak już pucułowane policzki, mocniej

zaciśnęła usta, by za chwilę rozewrzeć je tym gwałtowniej i wypalić:

— Tak już nam nie mówcie. Cztery lata temu, kiedyście zakładali spółdzielnię, mało było tego w całym kraju. To was i pieścili. Ale dziś... któż by nawet mógł? — wywodziła skwapliwie Szymczaczka, przenosząc na spółdzielczość produkcyjną chłopską maksymę, iż na dziesiąte dziecko matka chucha mniej niż na pierwsze.

Gospodyni domu, Heniszowa, żona rymarza, podeszła bliżej ławy i powiedziała z rewerencją:

— Wy w Śliwnie to co innego. Wyście już pokazali...

Czarne oczy Pawlaka zabłyśły. Cieszył się zawsze, gdy spółdzielnię w Śliwnie podziwiano. Wczoraj, na zebraniu gromadzkim, pewien indywidualny chłop broniąc się przed zwózką drzewa

POZDRAWIAMY KRAJOWY ZJAZD SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ

do pobliskiego tartaku, niechcący pochwalili ich spółdzielcze gospodarowanie: „Wasz drabiniasty wóz — wołał — to co innego, on i buki uniesie. Zresztą jak popsujecie koło, macie pod ręką stelmacha“.

TRZEBA IM BYŁO PATRZEĆ DALEJ

Miedzy czasem, który w pamięć Stanisława Pawlaka wrył się wspomnieniem: „U nas z początku było tak samo“, a czasem, który Ludwice Henisz podsunęła myśl, że „Śliwno to co innego“, zawarła się cała niełatwa historia śliwnieńskich spółdzielców. Pomyśleć by można, że zakładając spółdzielnię dawno, bo owego pamiętnego kwietnia 1949 roku, po różnym kobiercu do niej wchodził. Prawda, że jeszcze dawniej, kiedy brali ziemię, bywało, że ze względu na brak dobytku, pewne roboty wykonywali wspólnie — ale każdy z nich skrycie kołosał marzenie, że „na swoim“ się wzbogaci i wtedy da radę bez pomocy niczyjej.

Więc z dawna pieśczone marzeniom sami kazali „precz odejść z serca“ — gdy rozum im mówił, że lepsze „wspólne“ niż „swoje“.

Prawda, że z uprzedniej pomocy znali się wzajemnie, że skoro zaorali miedze, sąsiad nie bał się sąsiada — ale przecież miedze zaorali jako jedni z pierwszych, kiedy mało kto słyszał o spółdzielniach, kiedy wszyscy wokoło z nich drwili, kiedy po całej Polsce hulała plotka kułacka o „wspólnym kotle“ i „wspólnych żonach“, a kułacy miejscowi — jak im potem opowiadał Jaroszek, prezes Samopomocy Chłopskiej — na całą wieś rozgłaszali. Że spółdzielcy „chleba“ się wyzbędą i ostem zarosną“.

Musieli więc posiew owych drwin i strachów precz z duszy wygnąć — gdy się wiązali w spółdzielnię.

Prawda, że byli wśród pierwszych i opieki im nie brakło, ale też prawda, że gdy zaczynali gospodarzyć, nikt nie mógł jeszcze pokazać im obory z setką krów, tak jak oni pokazali niedawno przybyłym w gościnę podkrakowskim chłopom, by ich naocześnie przekonać — ani nikt nie mógł jeszcze otworzyć przed nimi spiżarni z worami cukru, jak uczyniła w lecie pobliska spółdzielnia po to, by chłopka z dalekiej wsi własną ręką, aż po łokieć w cukrze unurzana, stwierdziła prawdziwość spółdzielczej zamożności.

Więc trzeba im było — gdy się wiązali w spółdzielnię — patrzeć daleko, gdyż przykładu przed sobą nie mieli.

DROGA NIE SŁANA RÓŻAMI

A potem, kiedy już jako spółdzielnia istnieli i rośli, nie od razu umieli do rozumu przemówić tym, co na przykład zazdrościli księgowemu Katnerowi, gderając po całych dniach, że na takiego co przy biurku siedzi, oni pracować nie będą. I wcale nieprędko potrafili wyrwać spod wpływu kreciej roboty kułackiej jednego ze spółdzielców, co zaczął sarkać wtedy właśnie, gdy się już nasycił i przyodziął, co paszę kradł dla własnych krów ze wspólnej obory, a zadziwionym wycieczkowiczom podkrakowskim, pytającym: „Czy wszystko to było wasze?“ — na złość spółdzielni nakłamał: „Nie nasze“. Kułacka nienawiść chichotała z każdego ich zawodu, pęczniała z radości, gdy koń im się potłukł, albo gdy zepsuty traktor z wyciekającą



Jeden z dwóch wybudowanych jednorodzinnych domków mieszkalnych w spółdzielni produkcyjnej w Śliwnie przydzielono ogrodnikowi Stanisławowi Kusterowi.

oliwą przybył z miejscowego POM-u. Przez długi czas nowi członkowie dochodzili do spółdzielni chyłkiem, po cichu, kryjąc się niemal przed groźną obławą wiejskich wielmożów. Długo trzeba było czekać na chwilę, w której nowowstępujący członek przybywał z podniesionym czołem i ze słowami: „Wstydzę się tego, co przedtem myślałem, ale teraz chcę się przyłączyć“. Wcale nie na drodze usłanej różami zdobyło Śliwno wewnętrzną spójność, podwyższyło do czterdziestu trzech liczbę członków, rozszerzyło do trzystu czterdziestu hektarów obszar uprawy, osiągnęło znane na okolicę wyniki w hodowli, dorobiło się honorowej rangi jednej z przodujących spółdzielni w powiecie nowotomyskim, a nawet w całym województwie poznańskim.

Stanisław Pawlak dobrze pamięta, jak na zebraniu partyjnym powierzał towarzyszom odpowiedzialność za różne działania pracy. Co dzień o zmierzchu, zmęczony po własnej robocie, wraz z przewodniczącym Szczepanem Mrówką doglądał, jak się kto wywiązał z zadań. Szczepan, który z woli spółdzielców od początku aż do dziś przewodniczy, rozważą i spokojem dodawał ludziom otuchy. „Mówi pomału, ale wiele pomaga“ — twierdzą o nim powszechnie. Z czasem towarzysz odpowiedzialny za bydło zaczął z równym przejęciem zabiegać o dobre utrzymanie żniwiarek i kultywatorów, a znów ten od sprzętu z równą uwagą śledzić stan chlewni i włókowanie ziemi. Ludzkie troski połączyły się w jedną, wspólną, i tak było lepiej. Wzrastały dochody i inwentarz. Zaczęli myśleć o budynkach gospodarskich. Ale tu rozsierdził się ci, co daleko mieszkali, a po to, by z rana konie oporządzić, musieli wstawać przed świtem i chodzić trzy kilometry: „Dlaczego naprzód

porządnej obory zmarniało zboże czy bydło, albo zniszczył się sprzęt — to upadnie spółdzielnia. A to byłby bardzo wielki uszczerbek dla nas i dla naszego państwa. Nasze państwo tyle buduje, a dlaczego rolnictwo ma być zawsze na szarym końcu? Niejeden z naszych synów płakał, bo musiał krowy paść, a dziś właśnie dzięki Polsce Ludowej jest w szkole oficerskiej, innych znów dzieci są w Liceum Ogrodniczym w Trzciance albo w różnych szkołach w Nowym Tomysku. To prawda, że na przykład Opala ma bardzo daleko do pracy, ale — towarzysze — jeszcze dalej mają ci, co spod Krakowa do Nowej Huty dojeżdżają co rano po dziesięć i dwadzieścia kilometrów. Przecież musimy im pomóc w budowaniu socjalizmu. Socjalizmu bez spółdzielczości nie będzie, a właśnie nasza partia dąży do socjalizmu, to znaczy do dobrobytu i do pokoju...

Zgodzili się odłożyć na później budowę domków mieszkalnych, a wprzód przerobili rozwalone obory, wzniesli szopę na narzędzia, zainstalowali warsztat kołodziejski wraz z kowalskim. Zgodzili się ostatniego roku wziąć mniejszą dniówkę, niżby mogli — by spółdzielnię obdarzyć kurnikiem na pięćset kur, cieplarnią na kwiaty i warzywa oraz sadem rozległym, założonym na dziesięciu hektarach, z którego za lat kilka będą zbierać owoce. Zgodzili się na to wszystko, żeby polepszyć przyszłe życie wiejskie i miejskie, żeby wroga przyprzeć do muru, żeby — jak mówią przewodniczący i sekretarz — „światłem się stać na okolicę“.

Stanisław Pawlak z równą dokładnością pamięta dumę ze zwycięstw, co cierpki smak trudów. Lecz że opowiadanie toczy się łatwiej niż rzeczywiste sprawy, przeto ani się spostrzegł, jak poniosła go własna wymowa. Nie mógł się aż zatrzymać w wychwalaniu przed marszewskimi spółdzielcami śliwnieńskich zasług, owego siewu ziarnem kwalifikowanym, sortowania zboża, z

Dokończenie na str. 8

Śliwnieńska obora znana jest w okolicy. Gdy zaczynali przed czterema laty, mieli siedem wołów i trzy krowy. Dziś liczba krów dojnych i jałówek dobiega setki.



którego pierwszy standart uzyskują, pilnego włóczenia, co jak stół równa ziemię, i chowu jałówek, które będą sprzedawać z metryką.

WŁAŚNIE, ŻE BĘDĄ CHUCHAĆ

Długo by się jeszcze rozwodził, gdyby Szymczaczka nie zajechała mu przekornie:

— A ja wam powiadam, że my po czterech latach gospodarzenia jeszcze lepiej będziemy wyglądać niż wy.

Zawtórowała mniej wyzywająco, lecz zdecydowanie Heniszowa, żona rymarza.

Chciały może tym odezwaniami przyznać się okólnie, że je Pawlak przekonał. Że zamiast biadać nad możliwym zalaniem zielonki, należy pomyśleć, jaką własnym sposobem uratować. Że zamiast lękać się i trapić o to i owo, lepiej od razu zakasać rękawy, by dopracować się spółdzielczego plonu. Ale chciały też może tym odezwaniami udzielić gościowi lekkiej nauczki, bo jakoś im się zdawało, że za bardzo chwali się Śliwnem, a za mało myśli o Marszewie.



Spółdzielcy wykończają budynek cieplarni. Jeszcze trzeba wstawić ostatnie szyby i dach doprowadzić do porządku.



Mrówka i Pawlak cieszą się widokiem nowoczesnego kurnika na 500 kur, które spółdzielcy mają właśnie teraz zakupić.

Mieszkańcy gromady i członkowie spółdzielni chętnie przychodzą do kina. Księgowy ogląda taśmę filmową.



Przewodniczący Szczepan Mrówka. „Nie ma mowy, byśmy zmienili przewodniczącego” — zapewniają spółdzielcy.

Ktoś rzucił:

— Jakbyśmy z paszą nie wydołali — pomożecie? Później byśmy oddali. Zgoda na cetnar za cetnar? Bo gdybyście chcieli na procent, musielibyśmy wiedzieć.

Pawlak aż się zaperzył:

— Pewnie, że cetnar za cetnar. Dlaczegoż by inaczej? Żadnych interesów nie będziemy na was robić. Przecież teraz my wszyscy starzy spółdzielcy razem z naszym państwem będziemy pomagać nowym — mówił podniesionym głosem, jak gdyby chciał od razu wprowadzić w życie wskazanie partii, że jedna spółdzielnia powinna wychowywać drugą, i jak gdyby, wstydząc się trochę poprzedniego samochwalstwa, zapewnić chciał jednocześnie ludzi z Marszewa, że oni, ludzie ze Śliwna, będą tymi ich dorosłymi braćmi, którzy matce pomagają w wychowaniu dziesięcioletniego dziecka i właśnie będą na nie chuchać.

Spółdzielcy z Marszewa wiedzieli, że Pawlak na darmo nie zapewnia. Niedawno przecież Śliwno podparło pierwsze kroki spółdzielni w Trzciance. Innym znów razem pomogło chłopom indywidualnym, a kiedyś Pawłowi Glince wymłóciło zboże, by dotrzymał terminu dostaw dla państwa.

Raźniej zrobiło się w chacie rymarza. Szymczaczka raz po raz powtarzała: „Musi być dobrze!” W szarą godzinę snuto plany i przyszłość rysowała się weselej. A kiedy ktoś zabiadolił, że nie ma jeszcze bitej drogi do Marszewa ani elektrycznego światła, gospodyni, Ludwika Heniszowa, wystąpiła na środek izby i zawołała:

— Wszystko przyjdzie. Ale na razie jeszcze za wcześnie na żądania. Na razie sami musimy czegoś dokazać.

Od chwili, która w pamięć Stanisława Pawlaka wryła się wspomnieniem: „U nas z początku było tak samo”, do chwili, w której podziw dla spółdzielni w Śliwnie pchnął Ludwikę Henisz do walki o przyszłość spółdzielni w Marszewie — minął długi okres rozwojowy polskiej spółdzielczości produkcyjnej. W tym czasie znikło na wsi polskiej wiele miedzi, a wiele łanów obrodziło bogatszym, spółdzielczym ziarnem. W tym czasie wielu chłopów ogarnęło spółdzielczość produkcyjną bliższym, światlejszym spojrzeniem. Jednym przejawiała się jej wyższość w kłosie pszenicy, bardziej, niż wprzód napęczniałym, innym w przezorności z leszczyny oczyszczonym rowie wiejskim, wodę odprowadzającym, innym jeszcze w pieniężnym rozrachunku, w oborze spółdzielczej, lub w drabiniastym wozie, mocno stojącym na kołach. Ale na przedzie szerokiej drogi idą już ci, co widzą dalej. Ci, co jak Pawlak i Mrówka, jak Heniszowa i Szymczaczka, zaorali sami w sobie najważniejszą miedzę: między własną troską o najbliższą morgę — a wspólną troską gromadną o wspólną polską ziemię.

KAMILA CHYLIŃSKA

„ŚWIAT” przypomina!

Nieznany list Sienkiewicza

W LIII tomie „Dzieł” Henryka Sienkiewicza, które ukazały się w Polsce Ludowej pod redakcją prof. Juliana Krzyżanowskiego, znajdują się materiały dotyczące działalności autora „Trylogii” w okresie I wojny światowej. Jak wiadomo, Sienkiewicz przebywał wówczas w Szwajcarii, w miejscowości Vevey, gdzie stworzył komitet pomocy ludności polskiej. Na stronie 206 wyżej wymienionego tomu, w liście do Stanisława Osady, z lutego 1915 roku, znajdujemy ciekawą polityczną uwagę Sienkiewicza:

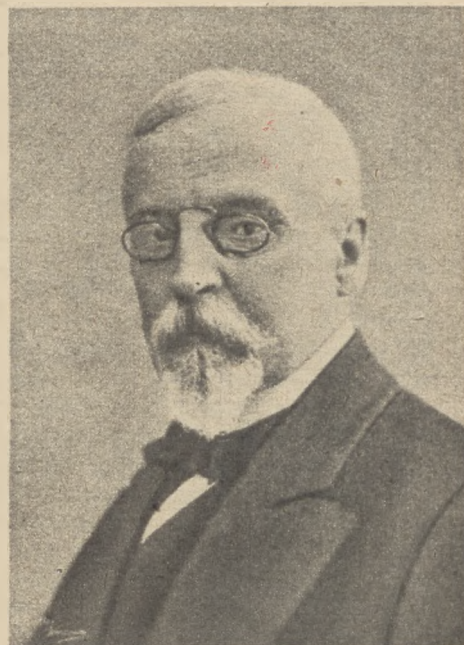
„Nędza w Polsce krzyczy w niebogłosy do tego stopnia, że potworzyły się lub tworzą się i inne komitety, w Niemczech i w Austrii. Pierwszy z nich, tak zwany Międzynarodowy z rezydencją w Berlinie, składa się z posła amerykańskiego (całkowicie oddanego Niemcom), hiszpańskiego i dygnitarzy pruskich. Zaproszono do niego także i arcybiskupa Likowskiego oraz biskupa Sapiechę, którzy oczywiście nie mogli odmówić, choć biskup Sapieha jest członkiem i naszego”.

Zarówno w tym tomie „Dzieł” jak i w innych, zawierających korespondencję Sienkiewicza, brak jest dwóch listów dotyczących tej samej sprawy, a pochodzących z późniejszego nieco okresu. Listy te adresowane do Karola Rosego, ówczesnego redaktora polskiego „Dziennika Berlińskiego”, poświęcone są omówieniu projektu połączenia komitetu sienkiewiczowskiego z komitetem amerykańskim Rockefellera urzędującym w Berlinie. Projekt ten Sienkiewicz energicznie zwalcza. Powody, którymi kierował się wielki pisarz wyjaśnione zostały w drugim liście do Karola Rosego, ogłoszonym w jego „Wspomnieniach berlińskich” (Warszawa 1932).

Sienkiewicz pisał:

„Szanowny Panie!

Chętnie zobaczyłbym Pana w Vevey, ale przypuszczam, że byłoby Panu nieprzyjemnie tu przyjeżdżać, a co do Rockf. (Komitet Rockefellera — przyp. „Świata”) to sprawa już zupełnie wyjaśniona. Byłem od początku stanowczo przeciwny łączeniu się z nim, chciałem bowiem, by nasz komitet został czysto polski i z polskich rąk dawał pomoc



Henryk Sienkiewicz.

ofiarom wojny. Bawi tu zresztą teraz aż 5 przedstawicieli Rockf. i wyznają otwarcie, że z Niemcami sprawa skończona. Chcieliby działać w Galicji, ale nie mają pieniędzy i nie mogą znikąd dostać zboża. Mają wyjechać za parę dni, tymczasem nic nie robią. Osuchowski poznał się z nimi — ja nie — albowiem słyszałem, że są absolutnie po stronie Niemców, pochwalają przemarsz przez Belgię etc. Sądzę zresztą, że powinni byli się pierwsi przedstawić. Żona moja prosi najuprzejmiej o dowiedzenie się, kto jest p. Adela. W Komitecie po staremu, wkraczamy w trzeci milion, a pomoc przesyłamy głównie do krajów okupowanych przez Austrię i Niemcy. Na nieszczęście granice tych krajów rozszerzają się z dniem każdym. Załączam wyrazy wysokiego poważania i szczerzej przyjaźni.

H. Sienkiewicz”

Pierwsze obozy koncentracyjne

Obozy koncentracyjne rozslawili hitlerowcy, ale „zasługę” wymyślenia takich obozów należy zwrócić Anglikom. Zastosował je po raz pierwszy lord Kitchener w czasie wojny boerskiej pod koniec wieku XIX i na początku wieku XX. Rysunek, który reproduujemy, pochodzi z tych właśnie lat, z paryskiego

pisma „Assiette au Beurre” i wyobraża taki właśnie obóz, stworzony przez Kitchenera. Kto mówi więc, że Amerykanie stosują obecnie tradycje hitlerowskie — ten popełnia małą nieścisłość. Stosują oni bowiem także dawniejsze tradycje imperialistyczne — tradycje brytyjskie.



Rysunek Jean Vebera, przedstawiający angielskie obozy koncentracyjne w południowej Afryce, w osiemnaście miesięcy po krwawym stłumieniu rozruchów.



Sonia i Astrow siedzą ze starą, mądrą nianią, którą odtwarza J. Munclingrowa.



E. Barszczewska i J. Świderski

W CZŁOWIEKU WSZYSTKO POWINNO BYĆ PIĘKNE

S. W. BALICKI

W NOTATNIKU poległej śmiercią bohatera w czasie Wielkiej Wojny Narodowej partyzantki, Zoi Kosmodemiańskiej, znaleziono następującą myśl: „W człowieku wszystko powinno być piękne: twarz, ubranie, dusza i myśli”. Są to słowa Astrowa ze sztuki Czechowa „Wujaszek Wania”.

I nie są one oderwane od głównego nurtu ideologicznego utworu. Przeciwnie, wyrażają zasadniczą myśl całej twórczości Czechowa (1860—1904). Ten wnuk pańszczyźnianego chłopa, a syn zbankrutowanego kupca, tyrana domowego, ciężko przebił się w młodości przez życie, zaním — będąc lekarzem-społecznikiem — stał się jednym z klasyków światowej literatury. Jego humanistyczna twórczość służąca człowiekowi towarzyszyła walczącemu o wyrwanie się z jarzma ucisku, wszystkim gnębionym i poniżonym, a tęskniącym do lepszego jutra.

Krytyk radziecki W. Jeremiłow, w monografii o Czechowie, świeżo wydanej przez PIW, charakteryzując wartości i sens „Wujaszka Wania” — tak określa klimat i tendencje utworu:

„Nad całym tym mrocznym życiem „szarych ludzi”, nad ciemną, złą siłą zniszczenia unosi się marzenie Czechowa o życiu w przyszłości, kiedy wszystko w człowieku będzie piękne! I jak zawsze u Czechowa wyobrażenie o pięknie łączy się z wyobrażeniem o prawdzie, o pracy twórczej, estetyka łączy się z etyką. Prawdą i pracą — to podstawa, wieczne żywe źródło piękna. Życie powinno stać się takie, by nie ginęło piękno wielkich „szarych ludzi”, by siła duchowa, ofiarność i pełne poświęcenia umiłowanie pracy nie było trwonione i nie służyło fałszywemu bóstwom”...

Czechow nie był związany z rewolucyjnym ruchem robotniczym. W humorach swych, opowiadaniach, utworach dramatycznych przede wszystkim zajmował się tragicznym losem inteligencji rosyjskiej, zagnanej w ślepy zaułek. Bliski jego współpracownik, twórca MCHAT-u, Konstanty Stanisławski, dawał jednak świadectwo prawdzie, że Czechow wśród literatów końca ubiegłego i początku obecnego wieku jako

jeden z pierwszych wyczuwał nieuchronność rewolucji proletariackiej. „Człowiek, który dawno przeczył wiele z tego, co się teraz dokonało — pisał Stanisławski — umiałby przyjąć to, co przepowiedział”.

Czytając utwory Czechowa lub słuchając dramatów jego ze sceny (w najbliższym czasie nakładem PIW ukaże się całość jego twórczości dramatycznej w przekładzie A. Sandauera) atmosfera tęsknoty ku lepszemu życiu musi narzucić porównanie z dniem dzisiejszym. To, co bohaterowie Czechowa, jemu współcześni, widzieli „za sto, za dwieście lat... gdy wszyscy będą pożytecznie (a więc dla społeczeństwa — przyp. red.) pracować” — to wszystko jest już naszym udziałem, naszym osiągnięciem, obowiązkiem i szczęściem. Lekarz Astrow z „Wujaszka Wania”, wielbiciel przyrody dla jej społecznego piękna, a więc użyteczności dla dobra człowieka, marzy o zalesianiu ugorów, przekształcaniu krajobrazu w służbie postępu. Realizuje to dziś kraj socjalizmu, przeobrażający przyrodę. Podobnie i Żeromski marzył, by powstał na polach podkrakowskich przemysł dla wydobycia człowieka z nędzy i wyzysku, by rosły tam budowle, huty — i oto budujemy Nową Hutę własnymi rękami.

Tylko te „wieszczby” się sprawdzają, które oparte są na fundamencie realistycznego widzenia rzeczywistości i możliwości rozwojowych człowieka. Takim realistą był Czechow. Głęboko ujął to Maksym Gorki, pisząc w liście do Czechowa (po obejrzeniu „Wujaszka Wania”) o tym, jak publiczność, która jego sztuki rozumie, odnosi się do nich: „Mówią na przykład, że „Wujaszek Wania” i „Czajka” — to nowy rodzaj sztuki dramatycznej, w której realizm wznosi się do poziomu uduchowionego i przeniesionego symbolu. Słuchając sztuki pana (właśnie „Wujaszka” — przyp. red) myślałem o życiu złożonym bałwanowi, o wtargnięciu piękna w ubogie życie ludzkie i o wielu innych rzeczach zasadniczych i ważnych. Inne dramaty nie odciągają ludzi od spraw realnego życia do filozoficznych uogólnień — pańska sztuka właśnie to czyni”...

„Wujaszka Wanie” gra w tej chwili

Państwowy Teatr Kameralny w Warszawie, w przekładzie Artura Sandauera, w reżyserii Marii Wiercińskiej, w dekoracjach i kostiumach Marii Przeradzkiej. „Wujaszek” ma piękne tradycje w historii polskiego teatru. Czołowi nasi artyści: Wysocka, Sosnowski, Feldman, Weychert, Adwentowicz, Zelwerowicz — znajdowali w tej sztuce ulubione role. I dzisiejsze przedstawienie jest jednym z najciekawszych, najwartościowszych osiągnięć w naszym współczesnym życiu teatralnym. Reżyseria bardzo wnikliwa i subtelnie wycieniowała wewnętrzny ton dramatu. A jest to sprawa trudna. Czechow celowo jako jeden ze środków wymowy ideologicznej wprowadza wiele szczegółów próżnego życia codziennego; one nie mogą przeszkadzać dialogowi, muszą właśnie wzmacniać nurt wewnętrzny właściwej treści. Trzeba ją umieć odczytać. Gdy aktorzy Stanisławskiego prosili o wskazówki, Czechow mówił: „Przecież macie napisaną przeze mnie sztukę. Tam jest wszystko powiedziane”.

Odnalazła to reżyseria i prawie wszyscy aktorzy. Toteż dostaliśmy kilka znakomitych kreacji. Mowa zwłaszcza o Elżbiecie Barszczewskiej i Antonim Różyckim. Różycki gra właśnie tego — według określenia Gorkiego — bałwana, któremu składają w ofierze swe życie i szczęście sterroryzowani ludzie, zasługujący na lepszą dolę. Różycki w roli profesora Sjeriebriakowa, wydejętej, fałszywej wielkości, egoisty i pasożyta, ukazuje dosłownie bałwana, despotę w fałszywym kostiumie wytwornego, namaszczonego frazeologa. W roli Heleny, młodej żony Sjeriebriakowa, tej zewnętrznej, pozornej piękności, która nie będąc pełną prawdą działa destrukcyjnie, Barszczewska wspaniale poprzez wszystkie uroki odsłania pustkę duchowego oblicza. Równocześnie wzruszyła osobistym dramatem Heleny. Czechow napisał żywych ludzi, powiedział o nich wszystko, skomplikował ich nawet, dał im indywidualne oblicze — aktorzy, zwłaszcza tych dwoje, wypowiadając wszystko o tych postaciach, przecież sugestywnie uwypuklili to, co w nich typowe. I na tym polega jedność ideowej treści z artystycznymi rozwiązaniami tych kreacji aktorskich.

J. Munclingrowa (niania), Życzkowska (Maria Wasiliewna) R. Hanin (Sonia), K. Pągowski (Tielegin) — ciekawie przeprowadzili swe role, koncepcje niemal wszystkich są uzasadnione; najważniejsze — to ludzie żywi, zachowujący się i mówiący po prostu, przekonująco.

Dyskusję mogą wzbudzać opracowania dwóch ról: wujaszka Wani w interpretacji M. Mileckiego i Astrowa w ujęciu J. Świderskiego. Na pewno obaj dają role głęboko przemyślane, ludzkie, wyrażające trafne widzenie tej rzeczywistości społecznej, o której pisał Czechow. Ale czy właśnie to wszystko powiedział o nich Czechow w tej sztuce, czy tak widzą ich inne postacie tego zdarzenia, czy myśmy powinni ich zobaczyć takimi, mam trochę wątpliwości, więcej zresztą pod adresem Astrowa. Ale o tym — będziemy obszerniej dyskutować gdzie indziej. A może kto z Czytelników chce tutaj zabrać głos? Prosimy.

Fot. C.O.P.A.

Wujaszek Wania (siedzi) z Astrowem i rezydentem dworu. Role te odtwarzają M. Milecki, J. Świderski i K. Pągowski.



STARE I NOWE ZBRODNI

Korespondencja własna „Świata“

Napisał FRANCIS CREMIEUX

Paryż, w lutym

W OSTATNICH tygodniach przed francuskimi sądami stanęło wielu hitlerowskich ślepaczy. Cięży na nich odpowiedzialność za zamordowanie tysięcy ludzi, za masowe deportacje francuskich patriotów, za zbrodnie w katowniach gestapo.

Zmarshalizowany rząd francuski był jednak tymi procesami mocno zaniepokojony. Rozpoczęły się one w tym samym okresie, w którym wskrzesza się w Zachodnich Niemczech odwetowy Wehrmacht, zbrojownie hitlerowskiej agresji. Nie była to więc odpowiednia chwila i rząd Mayera uczynił wszystko, żeby odwrócić uwagę społeczeństwa i nadać procesom jak najmniej rozgłos.

Dotyczy to zwłaszcza procesu morderców z Oradour, miasteczka w okolicach Limoges, gdzie 10 czerwca 1944 roku spalono wszystkie domy i wymordowano mieszkańców. Oradour jest dzisiaj miastem ruin i 642 ludzkich mogił. Proces, który rozpoczął się w Bordeaux, odbywa się jednak w charakterystycznych warunkach i znamiennej atmosferze. Rozprawa toczy się w małej sali. Nie ma w niej miejsc dla publiczności — ledwo pomieścili się tutaj członkowie wojskowego trybunału, oskarżeni, adwokaci i dziennikarze. W każdym szczególe przygotowań do procesu uwidoczniła się ogromna obawa paryskiego gabinetu przed opinią publiczną. Stąd wybór ciasnej sali sądowej, stąd również kampania prasowa, inspirowana przez ambasadę USA. Kampania ta usiłowała umniejszyć rolę oskarżonych i przedstawić większość z nich jako Alzackich, zwerbowanych, rzekomo siłą, do SS. Zdrada narodowa ma bowiem charakter ciągły, ma swoistą logikę. Ci, którzy są dzisiaj dziedzicami hitlerowskiej agresji przeciw Związkowi Radzieckiemu i demokracjom ludowym, są z natury rzeczy po stronie hitlerowskich przestępców wojennych. Czyż generał Ramcke nie służył dziś żołnierzy Waffen SS, jako poprzedników tzw. „armii europejskiej“?

Agenci amerykańscy we Francji usiłują więc wprowadzić w błąd społeczeństwo. Posługując się pseudoprawnymi argumentami, chcą oni oddzielić sprawę oskarżonych zbrodniarzy — mieszkańców Niemiec od sprawy oskarżonych zbrodniarzy — mieszkańców Alzacji. Kampanii tej służy m.in. zmontowana w Alzacji gwałtowna akcja „protestacyjna“, prowadzona przez tamtejszych faszystów. Mają oni na celu wybielenie pochodzących z Alzacji morderców z Oradour, którzy brali bezpośredni udział w czerwcowej masakrze. Mają również na celu podważenie całego aktu oskarżenia i uniewinnienie wszystkich oskarżonych. Tutaj występuje nowy „argument“: na ławie oskarżonych zasiadają wykonawcy — nie zasiadli na niej ci, którzy wydali zbrodniczy rozkaz.

To ostatnie twierdzenie stanowi rzeczywiste argument, ale nie taki, którego mogłaby



Proces toczy się w charakterystycznej atmosferze: nie dopuszczono publiczności.

sobie życzyć ambasada USA w Paryżu. Prawda jest bowiem przede wszystkim to, że w anglosaskich strefach Niemiec Zachodnich, pod opiekunkinymi skrzydłami Adenauera, wielu oficerów dywizji „Das Reich“ — tej, która mordowała mieszkańców Oradour — zajmuje wysokie stanowiska w przemyśle i administracji rządowej. General SS Lammerding, w r. 1951 skazany zaocznie na śmierć, przebywał w Duesseldorffie. W zachodnich Niemczech przebywa również na wolności 45 innych sprawców zbrodni w Oradour. Władze amerykańskie odmawiają wydania ich.

Bordeaux 1953. Dopiero po 9 latach hitlerowscy przestępcy zasiedli na ławach oskarżonych. Większość zbrodniarzy przebywa na wolności w Niemczech Zachodnich; potrzebni są amerykańskim okupantom, w Indochinach — francuskim kolonizatorom.



ORADOUR 1944. MIASTO



Ta kobieta jest jedną z nielicznychcalałych mieszkanek Oradour sur Glane.

W tych warunkach na ławie oskarżonych w Bordeaux zasiadło tylko 22 hitlerowców. Opinia francuska śledzi proces z niesłabnącym zainteresowaniem. Manewry reakcyjnych dzienników nie zdążyły się na nic. Miliony Francuzów przyjęły z oburzeniem fakt, że wielu spośród nieobecnych na rozprawie oskarżonych zaangażowało się do francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego i uczestniczy w nowej zbrodniczej akcji, prowadzonej tym razem przeciwko ludowi Wietnamu. Jeden ze zbrodniarzy z Oradour, SS-owiec Hoelinger, jest obecnie inspektorem policji w mieście Hue, okupowanym przez Korpus Ekspedycyjny. „Ogarnia głowę — gdy myśli się o tym, jak ten ślepecz z SS obchodził się z wietnamskimi patriotami“ — pisał niedawno jeden z postępowych francuskich dzienników.

Nacisk opinii publicznej potężnieje z dnia na dzień. Proces w Bordeaux stał się procesem hitleryzmu dnia wczorajszego i hitleryzmu dnia dzisiejszego.

Wysiłek obrony zmierza obecnie do niedopuszczenia do wzięcia lokalnej w Oradour. Oględziny miejsca zbrodni udaremniłyby bowiem wszelką obronę — mówić będą groby ludzi i ostygłe, straszliwe ruiny.

„Jeżeli sąd uda się do Oradour — oświadczył prokurator — wszyscy oskarżeni skazani zostaną na karę śmierci“.

Francuscy patrioci uważają, że jest to jedyny możliwy wyrok, jaki zapisać powinien w Bordeaux. Podkreślają oni jednocześnie, że proces zbrodniarzy z Oradour odbywa się w 9 lat po zbrodni. Zmarshalizowane gabinety odwlekają tę sprawę jak długo było można. Liczyły na to, że ludzie nie tylko zapomną, ale że nie zauważą również odbudowy nowej hitlerowskiej armii.

Te rachuby okazały się jednak daremne. Ludzie nie zapomnieli ani o Oświęcimiu, ani o Oradour. Ludzie żądają i będą żądać rachunku za stare i nowe zbrodnie.



ZBURZONYCH DOMÓW.



Jeden z głównych świadków na procesie w Oradour był ranny, ale uniknął śmierci

O NAŚLADOWANIU ADOLFA HITLERA

Napisał ARTUR MIĘDZYRZECKI

W SZYSTKO to razem jest tak jednoznaczne, że suchy opis faktów mógłby odbyć się bez jakiegokolwiek komentarza. Sprawa sprowadza się do tytułu. Mogłoby on brzmieć na przykład: „W osiem lat po upadku Berlina”, albo: „W dziewięć lat po upadku Vichy”, albo po prostu: „O naśladowaniu Adolfa Hitlera atlantyckich ksiąg czworo”.

Księga pierwsza jest czarno-księską. Temat: procesy czarownic w przekroju historycznym od średniowiecza do czasów najnowszych. Bohaterka: obywatelka amerykańska Mary Jane Keeney. Treść: Mary Keeney jest podczas wojny zaufaną urzędniczką ministerstwa wojny. Jej stuprocentowa amerykańska lojalność sprawdzona jest przez wszystkie zainteresowane urzędy i nie może budzić najmniejszych wątpliwości. W roku 1946, Mary Jane Keeney przychodzi do sekretariatu ONZ. W roku 1949 — na wniosek FBI — Mary Keeney zostaje wezwana przed Komisję do Badania Działalności Antyamerykańskiej. Na pytania, które dotyczą organizacji wewnętrznej ONZ, odmawia odpowiedzi. W sześć tygodni później Mary Jane Keeney czyta w prasie nowojorskiej, że ona, Mary Jane, znajduje się w stanie oskarżenia. Komisja oskarża ją o to, że wwoziła do Ameryki dywersyjne materiały, zagrażające bezpieczeństwu kraju. Szło o publikacje: „Dwa głosy Francji” i „Moje życie”. Obie wydane w okresie okupacji przez francuski Ruch Oporu. „Moje życie” Gabriela Peri to ostatni list wysłany przez pioniernego patriotę. Pisał ten list w hitlerowskim więzieniu, w noc poprzedzającą egzekucję. Pisał o przyszłości i „rozśpiewanych dniach jutra”, o świecie prostej radości i pokoju między ludźmi.

Księga druga jest księgą pochwalną. Temat: bohaterskie życie i patriotyczna działalność marszałka Petaina, który skazany został na karę śmierci za zdradę stanu i współpracę z hitlerowskim najeźdźcą. Autor: Andre Francois - Poncet, znamienity monachijski, dyplomata wielkiego przemysłu, wieloletni rzecznik amerykańsko-hitlerowskich koncernów. Bestseller 1953.

Treść: W czwartek, 23 stycznia 1953 r., Akademia Francuska przyjmuje w gro- no nieśmiertelnych — nieśmiertelnego ambasadora Monachium, Andre Francois - Poncet'a. Wchodzi on do Akademii na miejsce opróżnione przez Petaina. Zgodnie z tradycją wygłosić ma przemówienie i — jeżeli to możliwe — zatrzymać się nad owocną działalnością swego poprzednika. W przypadku Petaina nie wydaje się to jednak możliwe; tak jak nie było to możliwe w przypadku ministra Vichy, Abel Bonnarda (nie wspominał o nim nawet taki Jules Romains, wchodzący na jego miejsce), i w przypadku innego kolaborantysty, Abel Hermanta, którego, nie wymieniając nawet jego nazwiska, zastąpił w Akademii Etienne Gilson.

Tak było w latach ubiegłych. Ale jesteśmy w styczniu 1953. Dwa lata przedtem, w styczniu 1951, generał Eisenhower przemawiał w Zachodnich Niemczech do hitlerowskich generałów: — „Trzeba — powiedział — wybić oko temu, kto wspomina przeszłość...” W taki sposób ustawiono sprawę lat 1939—1945, zapominając nie tylko o Dachau, ale również, co ważniejsze, o Stalingra-

dzie. Generalowie Hitlera stuknęli więc wiernopoddanie przed nowym dowódcą, a Francois-Poncet wygłosił później w Akademii Francuskiej przemówienie, gloryfikujące zdraycę narodu francuskiego, marszałka Petaina.

Na sali było bardzo uroczyste i podniosłe. Przybyli członkowie atlantyckich ambasad, przybył również minister Robert Schuman, obdarzony przez rewizjonistyczną prasę miasta Bonn tytułem „wielkiego Europejczyka”.

„Wielu Francuzów i przeważająca część opinii zagranicznej — mówi Poncet, myśląc zapewne o opinii nowojorskiej gieldy i jej zachodnio-niemieckich kontrahentów — wstrząśnięta jest nadal wyrokiem, który zapadł na marszałka...”

Przemówienie trwało do godziny 15 do godziny 16.45. Jest to siedem kwadransów dytyrambu na cześć kolaboracji. Ambasador Stanów Zjednoczonych w Paryżu ma słuszny powód do zadowolenia. Francois-Poncet jest również „wielkim Europejczykiem”.

Księga trzecia jest krótkim traktatem o Machiaweli i jego nieszczęśliwych naśladowcach znad rzeki Sekwany.

Akcja rozgrywa się w mieście Bordeaux, nad inną francuską rzeką, Garonną. Po długich latach odwiekiania procesu, w Bordeaux zasiada wreszcie na ławie oskarżonych niewielka część hitlerowskich zabójców z Oradour. Na proces, o którym w tym samym numerze „Świata” pisał Francis Cremieux, nie mają jednak prawa wstępu operatorzy francuskiej kroniki filmowej. Dzięki temu zakazowi motyw „wybitego oka” z książki drugiej przewija się również w książce trzeciej. Ukonkretnia się w niej i krystalizuje. „Trzeba wybić oko temu, kto wspomina Oradour...” — brzmi teraz atlantycka maksyma. Miliony widzów francuskich uniknęły więc dużego niebezpieczeństwa. Któż jest ich zbawcą? Może „wielki Europejczyk” Schuman? Może któryś z jego przyjaciół? A może cały zespół znad cierpliwych rzek Sekwany i Garony? Trudno powiedzieć. W każdym jednak razie dobroczynne filmowe urządzenie potraktowane zostało przez publicystów Adenauera, jako oznaka „politycznej dalekowzroczności” paryskiego gabinetu.

Ta ocena, przecząca skądinąd elementarnym zasadom zdrowego rozsądku, stanowi jednak ważny element łączący tomy poprzednie z „Naśladowaniem Adolfa Hitlera” księgą czwartą i ostatnią.

Księga czwarta jest książką opublikowaną w Paryżu w listopadzie roku 1952. Nosi tytuł „L'Armee dite Europeenne” („Armia zwana europejską”). Ukazała się jako wydawnictwo „Librairie de Medicis”. Jej autorem jest profesor Lavergne z wydziału prawa paryskiej Sorbony, człowiek nie tylko daleki od kół postępowych, ale zadeklarowany sympatyk ugrupowań prawicowych. Nie lubi nas więc profesor Lavergne, ani demokracji ludowej nie lubi, ani słusznych żądań robotniczych w jego ojczyźnie, ani żadnego szerokiego ruchu ludowego w obronie pokoju i suwerenności Francji. Ale książka jego jest ciekawa. To prawie dokument. Jakiej bowiem trzeba było presji opinii publicznej, jakiego nasilenia ogólnej nienawiści do nowych okupantów, jakich obaw już nie tylko ze strony szerokich mas narodu, ale również ze stro-



Amerykańskie wydanie Wehrmachtu.

ny wielu kół francuskiej burżuazji, żeby profesor Bernard Lavergne napisać mógł takie słowa:

„Projekt układu (mowa o projekcie układu o t.zw. „Europejskiej wspólnoty” — t. zw. „armii europejskiej” — P.R.) jest pogwałceniem konstytucji francuskiej... Projekt układu gwałci przede wszystkim w sposób zasadniczy uprawnienia parlamentu... Parlament francuski stanie się izbą rejestracji decyzji, powziętych bez jego wiedzy... Jeśli układ zostałby ratyfikowany, ani jeden oficer francuski nie zawdzięczałby swej nominacji czy awansu władzy francuskiej... Francja bezustannie byłaby stawiana w obliczu faktów dokonanych. Naszemu ministerstwu obrony pozostałoby jedynie „zamknąć sklepik”, gdyż nie posiadałoby ono najmniejszej władzy w zakresie obrony naszej ojczyzny... Niebezpieczeństwo ciążące nad Alzacją i Lotaryngią czyni odrzucenie układu tym bardziej koniecznym... Niemcy Zachodnie, które nigdy poważnie nie potępiły nazizmu, stają się ponownie... państwem policyjnym, niesłuchanie zbliżonym do wzoru hitlerowskiego... Pod fałszywym pretekstem wzmocnienia obronności Europy... proponuje się nam zrezygnowanie z suwerenności narodowej”.

Takie są wnioski profesora Lavergne, poparte cytatami z konstytucji i prawniczymi dokumentami. Wnioski zaś poprzedzone są obszernymi uwagami, które warto zacytować.

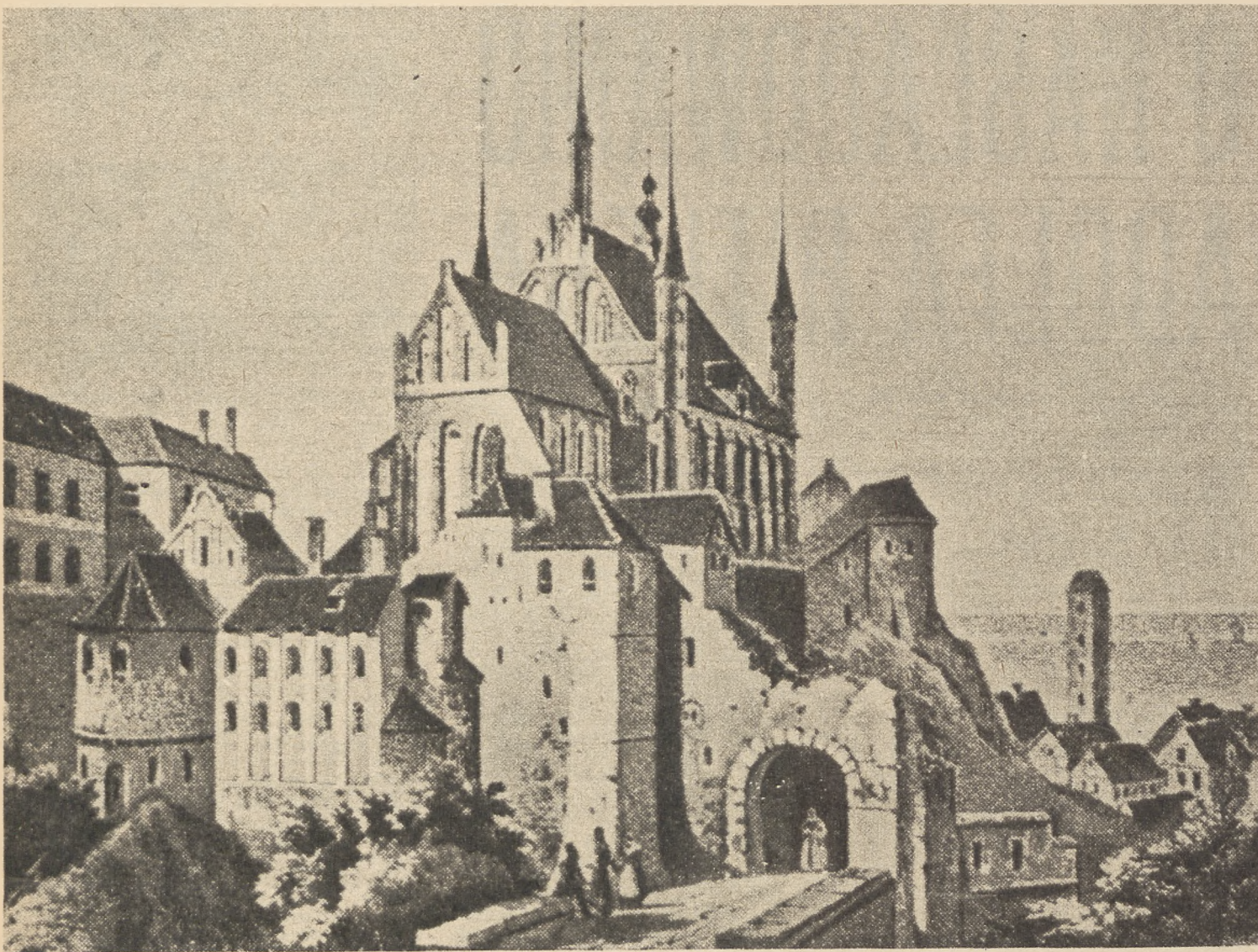
Część pierwsza pracy Lavergne'a poświęcona jest przyczynom, dla których zmontowana została koncepcja t. zw. „armii europejskiej”. Czytamy więc o „presji amerykańskiej”, czytamy o kapitulancji polityce zmarszczonych gabinetów i działalności Schumana, czytamy o presji ze strony Watykanu, który pragnie utworzyć „rozległą wspólnotę polityczną, podlegającą jego wpływom” i podporządkowaną polityce amerykańskiego Departamentu Stanu. Czytamy wreszcie o meżach zaufania tej awanturniczej działalności, godzącej w najważniejsze interesy narodów.

„Pan Robert Schuman, pan Adenauer i pan de Gasperi podczas studiów w Bonn należeli do tej samej korporacji — do korporacji studentów katolickich. Kiedy ci trzej starzy przyjaciele spotykają się w którejś ze stolic, mogą sobie wyobrazić, że ożyli lata ich młodości. Niewątpliwie jest to okoliczność sprzyjająca wzajemnemu zrozumieniu, lecz nie sprzyja ona lepszej obronie reprezentowanych przez nich krajów”.

Następuje rozległa panorama działalności, która w języku zupełnie ścisłym nazywa się zdradą narodu. Przegląd przytoczonych z tej okazji formuł, za którymi rząd francuski stara się ukryć odrodzenie Wehrmachtu, stanowiłby wcale zabawną zresztą lekturę, gdyby sprawa nie była aż tak poważna. Spod wywleczonych z archiwów Goebbelsa frazesów o zjednoczonej Europie i obronnych układach wojennych wygląda bowiem nowa hitlerowska agresja w nowym waszyngtońskim wydaniu. Nie ulega przy tym wątpliwości fakt, że dziedzictwo po Hitlerze przejmowane jest z pełną świadomością. Gabriel Peri na indeksie FBI, rzecz o Petainie w Akademii Francuskiej, tuszowanie zbrodni w Oradour — to kilka stron tego samego zagadnienia, ta sama polityka zaprzęstwa i faszyzmu. „Wielki Europejczyk” Schuman prowadziłby ją we Francji aż do samego katastrofального skutku, gdyby coraz uważniej nie patrzono mu na ręce. Jest to poważny szkopał: opinii publicznej nie można przeczyć oszukiwać w nieskończoność.

„W rezultacie — stwierdza profesor Lavergne — nasi „politycy”, kontynuując kamuflaż, poprzestają obecnie na zapewnieniu, że szereg dywizji wyposażonych w najlepszy sprzęt, nie stanowi jeszcze armii. Jeżeli przewidzianych na razie 12 dywizji niemieckich — 520.000 żołnierzy nie stanowi jądra potężnej nowoczesnej armii, to w takim razie pytamy, co te słowa oznaczają? Kiedyż we Francji ministrowie przestaną kpić sobie bez umiaru ze społeczeństw?”

Pytanie to zadają sobie coraz częściej miliony Francuzów. Nosi ono w sobie bardzo niewesołe wróżby dla naśladowców Adolfa Hitlera i gloryfikatorów Filipa Petaina.



FROMBORK STAWIŁ CZOŁO ARMII KRZYŻACKIEJ DZIĘKI MĘSTWU I ZDOLNOŚCIOM ORGANIZACYJNYM KOPERNIKA

MIECZ i ASTROLABIUM

Napisał: ADRIAN CZERMIŃSKI

„Najjaśniejszy i najmiłościwszy Władco. Królu i Panie Najlaskawszy! — pisał Kopernik do króla Zygmunta I w imieniu kapituły warmińskiej. — Nie jest Waszej Miłości tajemnicą, jakich obelg doznajemy już przez pełnych lat siedem ze strony zbrodniczych i bezczelnych ludzi przez to, że zarówno my, jak i nasi poddani nękani jesteśmy ogniem i mieczem, napadami i rozbójkami od coraz to wzrastającej liczby wrogów; że sami jesteśmy uprowadzani w niedolę, tak iż jednej godziny nawet bezpiecznie nie mieszkamy w domach naszych, które leżąc wśród otwartego pola wystawione są na ich pożądanie...”

List datowany był: Z Warmii dnia 22 miesiąca lipca roku 1516.

Tymczasem zaś Albrecht Hohenzollern, Wielki Mistrz Zakonu Niemieckiego Najświętszej Marii Panny, zwanego inaczej Rycerzami Mieczowymi albo po prostu Krzyżakami, dążył do odebrania Polsce Prus Królewskich i raz po raz urządzał wypadki na Warmię, która stanowiła w tym czasie udzielne księstwo pod biskupim zarządem. Werbując ze wszystkich stron zachodniej i północnej Europy żądnych przygód i łatwego chleba straceńców, odziewał ich w mundury zaciężnych knechtów i słał na terytorium biskupstwa warmińskiego, aby „wyrządzili szkody paro-



Dzielo „Machina niebios” Heweliusza z podobizną Kopernika na karcie tytułowej.

chom i nieszczęśliwym chłopom, a wsie palili” — jak podają ówczesni kronikarze.

Toteż nikt w całej Warmii nie był spokojny, ani w polu, ani wśród ścian własnego domostwa. Dymły zgłiszczą wsi i podgrodzi, leżały przy drogach zwłoki pomordowanych, ryczało bydło i rżały konie, uprowadzane przez krzyżackich najemników. Ciężkie, bure dymy snuły się we dnie nad horyzontem, a noc rozjaśniały czerwone huny. Wielki Mistrz Albrecht, z najwyższym błogosławieństwem papieża bronił w ten sposób „wspólnych, warmińsko-zakonnych interesów przed najazdem polskim” wojsk Zygmunta.

„Myśmy to dotychczas znosili w cierpliwości — pisał dalej Kopernik — ponieważ poświęciwszy się stanowi duchownemu mniej mamy doświadczenia w rzemiośle wojennym. Jednak, ponieważ na ważnym sejmie w Elblągu świeżo zapadła była uchwała, że wszyscy mają chwycić za oręż przeciwko tej pladze, ażeby ją wyplenić, i ponieważ rozumieliśmy, że to jest także postanowione edyktem Waszej Królewskiej Mości, nie uchyliliśmy się od obowiązku, lecz owszem pierwsi staliśmy się mścicielami tak wielkiej zbrodni”.

Wspomniana przez Kopernika zbrodnia wyglądała następująco: hrabia Wilhelm von Eisenberg z Hollandu, brat zakonny i pan feudalny, ujął się za swymi wasalami,

ściganymi przez mieszczan elbląskich i kapitułę warmińską. Jednym z nich był Hipolit Wedil, zwyczajny raubritter, który zażądał się i napadł na jednego z mieszczan Elbląga. Obrabowawszy go i zmasakrowawszy w straszliwy sposób, porzucił dogorywającego na polu i uszedł na ziemie zakonne.

Przejeżdżający drogą chłopci znaleźli rannego, zabrali go na wóz i powiadomili o wypadku Krzysztofa Pfaffa, burgrabiego Melzaku, zwanego później Pieniężno. Burgrabia puścił się w pościg za rozbójnikami, dopadł ich przy podziale łupów, broniących się wytracił, a resztę — wraz z Wedilem — ujął i wtrącił do turmy. O tego to Wedila upomniał się u kapituły Eisenberg i sam Wielki Mistrz Albrecht, oskarżając burgrabiego o pogwałcenie ziem zakonnych. Incydent ten stał się jeszcze jedną z tysięcy kropel, które ostatecznie przepełniły od dawna już pełny dzban. Wojska polskie obsadziły błagającą opieki Warmię, a Albrecht rozpoczął wojnę.

Nie zaskoczyła ona kapituły warmińskiej. Spodziewając się jej od dawna, zobowiązano Kopernika, pełniącego funkcję administratora dóbr kapitulnych, do opatrzenia zamku w Olsztynie. Zamek ten uchodził za najbardziej obronny w całej Warmii.

29 grudnia 1519 r. Wielki Mistrz przekroczył granicę Warmii na czele wojsk zaciężnych. Podsunąwszy się pod Braniewo, zdobył je podstępem, przy pomocy tamecznego burmistrza Filipa Teschnera, syna Łukasza Waczenrode i stryjecznego brata Kopernika, zakały ich rodu. Kiedy pochyłający się w niskich ukłonach Teschner wręczał zdobywcy klucze miejskie, Albrecht uderzył go w twarz żelazną rękawicą, sycząc:

— Masz! Abyś na drugi raz lepiej pilnował miasta!

Skoro Kopernik z Janem Scultetem przybyli do Braniewa, jako posłowie kapituły, powitała ich na środku rynku olbrzymia szubienica — symbol rozpoczynających się rządów krzyżackich.

— Książę i pan mój najlaskawszy — oświadczył posłom von Heideck, naczelny dowódca wojsk zakonnych — polecił wam oznajmić, że papież ustanowił go i deputował na protektora i obrońcę biskupstwa i kościoła warmińskiego. Teraz żąda od was, abyście jemu, zwyczajem poddanych, złożyli na moje ręce przysięgę wierności i posłuszeństwa.

Posłowie odpowiedzieli, że żądanie Albrechta przedstawia kapitulę, poczem za żelaznym giejtem opuścili Braniewo. Scultet udał się do Elbląga, a Kopernik powrócił do Fromborka, aby przygotować obronę miasta.

Rozsierdzony brakiem odpowiedzi Heideck wyruszył na Frombork, „aby — jak pisał do W. Mistrza — tak zniszczyć to gniazdo, iżby przynajmniej w ciągu lata żaden ptak nie mógł się tam gnieździć”.

Na wiadomość o nadciągającej armii krzyżackiej kanonicy rozpięchli się, pozostał tylko Kopernik.

Stając na czele przypadkowo zebranej załogi, obejmuje obronę katedry i kapitulnych gmachów tzw. kurii, otoczonych murami i fosami. Zagrzewając obrońców własnym przykładem, stawia zwycięsko czoło żołdakom krzyżackim, usiłującym daremnie wdrzeć się na wysokie mury. Von Heideck, oczekując na przyobiecane posiłki i armaty, puszcza z dymem miasto i burzy przylegające do murów zewnętrzne kurie. Niespodziewana obrona nielicznej załogi kapitulnej dezorientuje napastnika, który wycofuje się jak niepyszny. Tymczasem wojska królewskie śpieszą Kopernikowi z odsieczą i w liczbie stu wojowników obsadzają Frombork. Kanonik warmiński może teraz z całym spokojem odpasać miecz i usiąść przy astrolabium.

Rozpoczynają się ciche, podobne do sie-

NICOLAI CO PERNICI TORINENSIS DE REVOLUTIONIBUS ORBIS M. COPIUM, Libri VI.

Habet in hoc opere iam recens naso, & ædiao,
Audite lector, Notus itellatam, tam haurum,
quidam eni asatam, cum ex ueteribus, cum etiam
ex recentibus observationibus relictis: & no-
uis insuper ac admirabilibus hypothetibus or-
natis, I. Tabulam Tabulas expeditissimas, ex
quibus eodem aliquodis tempore quim facili
me calculare poteris, igitur eme, lege, haere.

Amstelredamum.

Collegii Astronomici, Nicolai Torini.

Norimbergæ apud Joh. Petrium,
Anno M. D. XLVIII.

R. Universitatis, D. Cosmographi.

Joannis, Universitatis Norimbergæ.

R. Universitatis, D. Cosmographi.

Pierwsze wydanie „Obrotów” Kopernika (druk. w Norymberdze, rok 1548).

bie, jak krople wody, dni wytężonej pracy. Kopernik powraca do pochłaniających go całkowicie zajęć — obserwacji planet i żmudnych obliczeń, wykresów. Oznacza odległości Jowisza i bada pozorne przesunięcia wywołane ruchem Ziemi, wyznacza apogeum jej orbity, notuje opozycję Saturna — a wszystko to na podstawie greckich, rzymskich i arabskich wyliczeń oraz własnych obserwacji, dokonanych przy pomocy trzech prymitywnych przyrządów: kwadrantu¹⁾, triquetrum²⁾ i astrolabium³⁾.

Tymczasem działania wojenne w Warmii rozwijały się coraz szybciej. Albrecht ruszył na Melzak, opanował — znowu podstępem — miasto i zagarnął długi szereg wozów naladowanych chłopskim dobytkiem, wtłoczony w obronne mury miasta w obawie przed plądrującymi wojskami zakonnymi. Zdobywszy słabo broniony zamek pojął wreszcie burgrabiego Krzyżaków Pfaffa i zaraz następnego dnia kazał go ściąć na rynku Braniewa. Po opuszczeniu Małzaku przez Krzyżaków, nadeszły wojska królewskie i rozpoczęła się regularna wojna.

Kiedy wojska Zygmunta podsunęły się pod Królewiec, Wielki Mistrz w otoczeniu czterdziestu rycerzy zakonnych, odzianych w białe płaszcze z czarnymi krzyżami, przybył do Torunia prosić Zygmunta o pokój. Zdawało się już, że biały gołąb pokoju usiadł na nieszczęsnej warmińskiej ziemi, gdy naraz gruchnęła wiadomość o przybyciu do Królewca duńskich okrętów z pomocą i wyruszeniu wielkiej armii zacieężnej z Niemiec. Albrecht zerwał natychmiast pertraktacje i na czele swej świeżej siedmiotysięcznej armii, zaopatrzonej w wyborowe działa, ruszył pod Lidzbark, stolicę biskupstwa warmińskiego.

Sześć tygodni padały na dachy miejskie i iglice wież zamkowych zapalające pociski — kule ogniste tak sporządzone, że do każdej przywiązywano dwanaście mniejszych bombard, każda długości dłoni ludzkiej. „Kiedy taka kula upadła, paliła się, a w ciągu jednej zdrowaśki owe mniejsze bombardy wybuchały”. Przez sześć tygodni Albrecht wypuścił na miasto 200 ognistych bombard i 800 wielkich kul żelaznych. Kosztowało go to około 15.000 grzywien. Gdy podpalenie Lidzbarku nie udało się, Wielki Mistrz otworzył ogień na mury. Nie-

płatni od wielu miesięcy żołnierze odmówili jednak szturmowi na wykruszone już pozycje.

— Oddajcie nam te nędzne pieniądze, mnichy krzyżem znaczone! — wołali. — Oddajcie, bo pójdziemy stąd precz!

Daremno Albrecht ręczył książęcyim słowem honoru, że skoro tylko zdobędą miasto, natychmiast wypłaci im żołd ze zdobytych na kapitule pieniędzy. Najemni żołdacy i ciury obozowe nie wierzyli mu. Kiedy nadomiar nadeszła „burza tak gwałtowna, że wrogom ziemia zdawała się rozstępować pod nogami, zdjęci najwyższym strachem biegali tu i tam w popłochu, aż wreszcie zaczęli uciekać w stronę Królewca, porzuciwszy wozy, lance, broń i tabor, nawet kotły z żywnością nad rozpalonymi ogniskami”.

Ostatnia w historii Zakonu wielka armia krzyżacka uciekała w popłochu. Zniechęcone wojska zacieężne powracały do Niemiec.

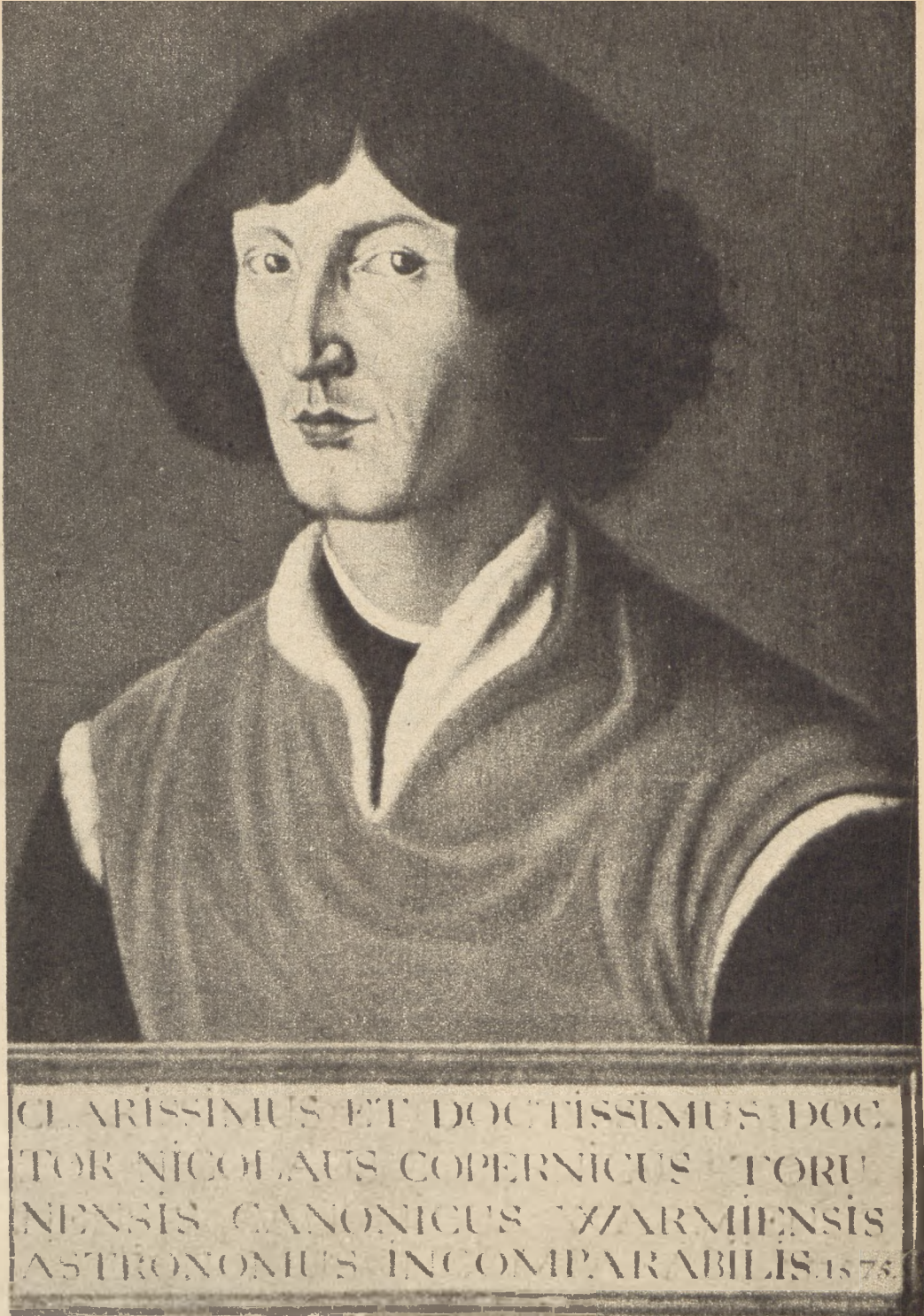
Tymczasem Kopernik opuścił już Frombork i — zabrawszy ze sobą astrolabium i triquetrum — udał się do Olsztyna. Kanonicy, przerażeni postępami znajdującej się jeszcze wówczas w pełnym blasku krzyżackiej armii, schronili się do Gdańska i Torunia. W Olsztynie zastał Kopernik jednego tylko z kanoników — Snellenberga. Przerażony księżulo szeptał zbiegającymi wargami, że Krzyżacy dobyli właśnie Dobrego Miasta i spalili tamtejszą kolegiatę, że tuż, tuż wdrą się do Lidzbarku, że oblegają Ornetę. Wiadomości sprawdzały się. Wkrótce doniesiono Kopernikowi, że zacieężne oddziały Albrechta wdarły się w mury fromborskie, a rozwścieczeni brakiem łupu żołdacy porabiali mieczami jego kwadrant. Jan Scultet, który towarzyszył Kopernikowi w posłowaniu do Wielkiego Mistrza, przebywa w Elblągu; śle list za listem do Kopernika w Olsztynie, zachęcając go do wytrwania i zaopatrując w żywność oraz w bombardy. Kopernik prosi swego konfratry o przysłanie soli, ołowiu i — papieru. Widać Urania⁴⁾ nie znikła w szczękę broni.

Jest druga połowa lutego 1521 r. Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego, rozczerwony nieudany szturm Lidzbarku, obraca całą swą wściekłość na Olsztyn i uderza niespodziewanie na miasto, pragnąc zdobyć je za jednym zamachem. Jednakże dobrze zorganizowana przez Kopernika obrona mieszczań odpięła z miejsca atak nieprzyjaciela. Albrecht, przywykły do zdobywania miast podstępem i do pokornego otwierania się bram zamkowych przed je-

⁴⁾ Jedna z dziesięciu Muz, opiekunka astronomii.



„Ostatnie chwile Kopernika” — według obrazu A. Lessera. Na krótko przed zgonem otrzymał Kopernik egzemplarz pierwszego wydania swego dzieła „O obrotach ciał niebieskich”.



„Toruńczyk, kanonik warmiński, astronom nieporównany”. Tak głosił podpis pod portretem Mikołaja Kopernika, stanowiącym kopię obrazu przypuszczalnie z roku 1575.

go wojskami, zostaje zmuszony do odstąpienia od wypróbowanych tak dobrze sposobów. Zarzuca więc miasto i zamek płonącymi bombardami, ale obrońcy skutecznie gaszą pożary namoczonymi w wodzie skórami wołowymi, przykrywając nimi i gasząc ogniste kule. Na żołnierzy, podchodzących pod mury, leje się z góry wrzątek, a co bardziej upartych oblepia gorąca kassa. Poparzeni, oślepi, rażeni pociskami,

zeskakują z obleźniczych drabin do fosy i toną w cuchnącej wodzie. Pokryta krą Łyna nieśte trupy niemieckich knechtów. A płonące bombardy obleżonych, niby ogniste meteory wpadają do namiotów krzyżackich, wzniecając gwałtowny pożar, strach i zamieszanie. Mikołaj Kopernik, genialny astronom, kanonik fromborski, lekarz kapituły i administrator dóbr olsztyńskich, znakomity inżynier i budowniczy, dzielnie broni Olsztyna.

Albrecht postanawia odstąpić. Nie mogąc dobrać się nie tylko do murów zamkowych, ale nawet do miasta, puszcza z ogniem 7 wsi okolicznych i jak zły duch zniszczenia i wojny znika wraz ze swą armią w gęstych kłębach dymu. Chłopi, którzy nazajutrz zjawili się w oswobodzonym mieście, opowiadali, że widziano Wielkiego Mistrza, jak samotnie, na splenionym koniu, w białym płaszczu znaczonego czarnym krzyżem, snuł się po okolicy, podkładając własnoręcznie ogień pod wiejskie strzechy.

Olsztyn był wolny. Wolny był Lidzbark, Elbląg i jedne po drugich oswobadzały się od zakonnej przemocy warmińskie zamki i miasta. W Toruniu zawarto rozejm. Kopernik zwolnił załogę i zaczął osadzać chłopów na opustoszałych wsiach i gospodarstwach. Życie wracało do normalnego trybu. Ziemia, którą poruszył astronom, kręciła się dalej wokół osi i coraz mocniej przyświecało to Słońce, któremu Kopernik kazał stanąć. Kwadrant niszczał, ale było jeszcze triquetrum i astrolabium. Czekwały karty zapisanego papieru: „De revolutionibus orbium coelestium”. Kopernik wracał do Fromborka, do przerwanej pracy.

1) Kwadrant — płytka drewniana z łukiem i podziałką, na którą słońce rzuca cień od słupka, umieszczonego w środku łuku. Służy do mierzenia wysokości słońca nad horyzontem.

2) Przyrząd złożony z trzech listew drewnianych na zawiasach. Przez wizjery w listwach można było określić wysokość ciała niebieskiego nad horyzontem.

3) Przyrząd z 6 drewnianych kółek współśrodkowych z wizjerami. Służył do określania wysokości katowej planet nad ekliptyką ziemi.

PRZY ULICY WALL STREET 48...

JOZEF SOŁTYS

JESLI jest jakiś człowiek, który w pełni poznał wewnętrzne powiązania i metody międzynarodowego kapitału, to jest nim John Foster Dulles — pisała szwajcarska „Weltwoche“.

W istocie jednak Dulles nie poprzestał na „poznaniu powiązań i metod międzynarodowego kapitału“. Od najmłodszych lat straszy on w zakamarkach międzynarodowej polityki finansowej. W roku 1907, jako siedemnastoletni aspirant „wielkiej polityki“, bierze udział w konferencji pokojowej w Hadze. W dziesięć lat później reprezentuje Departament Stanu w Ameryce Środkowej. Zdobyte wówczas doświadczenie pozwoli mu później oddać nieocenione usługi Morganom, Rockefellerom, duPontom i Schroederom.

PRZYJACIEL SCHACHTA I HITLERA

Do amerykańskiej „wielkiej polityki“ nie potrzebował Dulles wkładać się kuchennymi schodami. Jako wnuk J. W. Fostera, ministra spraw zagranicznych za prezydenta Harrisona, i siostrzeniec Roberta Lansinga, ministra spraw zagranicznych Wilsona, miał Dulles otwarte drzwi do Departamentu Stanu.

W roku 1919 Lansing zabiera swego siostrzeńca na konferencję pokojową do Paryża. W Wersalu „hiena w cylindrze“ — jak Dulles nazwała wówczas prasa francuska — staje się najbliższym doradcą Wilsona. Konferencja pokojowa w Wersalu stała się widowiskiem wielkich przetargów pomiędzy imperialistycznymi rekinami, wśród których główną rolę odgrywał prezydent Stanów Zjednoczonych. Atmosferę panującą w Wersalu dosadnie scharakteryzował emir Feisal, syn ówczesnego króla Hedżasu: „Konferencja przypomina mi jeden z widoków mego kraju. Kraj mój jest pustynią. Przechodzą przez karawany, które można porównać z armią delegatów i rzeczoznawców konferencji — karawany wielkich wielbłądów, uroczą kroczących jeden za drugim, każdy dźwigający swój ciężar. Idą nie tam, dokąd chcą, ale tam, dokąd są prowadzone, gdyż nie mają wyboru. Ale jest i różnica: gdy duża karawana na pustyni ma tylko jednego kierownika, małego osiołka, konferencję w Paryżu prowadzi dwóch delegatów, którzy są Wielkimi tej ziemi“.

Tymi dwoma „wielkimi“ byli Wilson i Lloyd George, przy czym pierwsze skrzypce grał prezydent Stanów Zjednoczonych. Ludwik XIV mówił — „Państwo, to ja“, sformułowane przez Dullesa hasło Wilsona brzmiało — „Wszystkie państwa, to ja“. Na zewnątrz występował Wilson, „brudną robotę“, formułowanie wszystkich planów amerykańskich imperialistów robił w znacznej mierze Dulles.

Po podpisaniu traktatu pokojowego Dulles nie wraca do Nowego Jorku. Jako pierwszy amerykański członek komisji reparacji wojennych nawiązuje Dulles zażyłe stosunki z przyszłym szefem hitlerowskich finansistów, Hjalmarem Schachtem. Za jego pośrednictwem wchodzi Dulles w zamknięty świat pruskich junkrów i

nadreńskich monopolistów, z którymi wspólnie snuje plany agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu. W tym też czasie spotyka się z osławionym generałem Hoffmanem, którego plan podboju Wschodu nazywa Dulles „najbardziej czarującym“.

W tym czasie Wall Street postanawia odbudować agresywne Niemcy, które w planach amerykańskich monopolistów spełniać mają rolę tarana przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Dulles, „advocatus diaboli“, bierze czynny udział w opracowaniu planów Dawesa i Younga, pośrednicząc między amerykańskimi i niemieckimi trustami. W tym czasie udaje mu się doprowadzić do zawarcia międzynarodowego spisku trzech największych na świecie koncernów chemicznych: amerykańskiego duPonta, niemieckiego IG Farben i japońskiego Mitsui. W parę miesięcy później — znów za poręką Dullesa — dochodzi do zawarcia międzynarodowego kartelu stalowego między „US Steel Corp“ i niemieckimi „Vereinigte Stahlwerke“.

Wszystkie te sukcesy nie cieszą jednak „hieny w cylindrze“. Dulles marzy o „wielkich przemianach“. W grudniu roku 1932 gorączkowy ruch panuje w ponurym domu przy Wall Street 48. Dwaj czarni woźni i trzech policjanci odprowadzają wszystkich klientów, którzy pragną zasięgnąć porady prawnej u urzędników firmy „Sullivan & Cromwell“. Pan Dulles jest zajęty, od tygodnia trwa ważna konferencja. Urzędnicy chodzą na palcach. W ponurym gabinecie na trzecim piętrze trwają rozmowy z przedstawicielami największych amerykańskich monopolii. Wreszcie 16 grudnia mr Dulles udaje się do swego brata Allena, współwłaściciela domu bankowego Schroedera. W rozmowie bierze udział jeszcze dwóch panów i jedna kobieta: Eleanor Dulles, najmłodsza z rodzeństwa, już wówczas zajmująca „odpowiedzialne stanowisko“ w Departamencie Stanu.

Wyniki rozmowy nie zostały nigdy opublikowane. Następnego dnia jednak Allen Dulles, ten sam, który w latach drugiej wojny światowej stał na czele amerykańskiego wywiadu w Europie, odlatuje do Londynu. Tutaj w gabinecie dyrektora angielskiego domu bankowego J. H. Schroeder odbywa się krótka odprawa, po czym dwaj panowie — Allen Dulles i G. A. Westrick — odlatują do Paryża. 20 grudnia 1932 roku Allen Dulles znajduje się w Kolonii, gdzie zajeżdża do willi bankiera Schroedera, trzeciego protoplasty „grupy Schroederów“. Pobyt amerykańskiego „przyjaciela“ w Kolonii nie trwa długo. Na święta Bożego Narodzenia Allen Dulles jest już w domu.

Wyniki tych wszystkich tajemniczych rozmów ujawnione zostaną wprawdzie dopiero w przyszłości, ale rezultaty są natychmiastowe. 4 stycznia roku 1933, w willi bankiera Schroedera odbywa się spotkanie Hitlera z Papenem oraz przedstawicielami Trustu Stalowego. Bezpośrednim rezultatem tej konferencji było oddanie Hitlerowi stanowiska kanclerza Rzeszy, w chwili gdy partia narodowo-socjalistyczna przeżywała katastrofalny spadek wpływów. Spisek amerykańskich i niemieckich monopolistów wyniósł do władzy Hitlera, którego rządy oznaczały dla międzynarodowych handlarzy śmierci bajeczne zyski na zbrojeniach i nadzieję na wojnę.

RODZINKA PRZY ROBOCIE

Dojście Hitlera do władzy w Niemczech oznaczało dla Johna Foster Dullesa dalszy wzrost zysków. W ciągu dwóch lat po przewrocie ceny niklu na międzynarodowym rynku zbrojeniowym podskoczyły o 65%. Miedź podrożała o 47%. Wolfram — 29%. Wszystko to jednak było niczym wobec wzrostu zysków dwóch niemieckich firm „Vereinigte Aluminiumwerke“ i „Focke — Wulff“. Właścicielem obu był oficjalnie niejaki Westrick, hitlerowski Wehrwirtschaftsfuehrer, a od roku 1940 niemiecki attache handlowy w Nowym Jorku. Czołowym jednak udziałowcem zakładów aluminiowych i fabryki samolotów był serdeczny przyjaciel Westricka, niejaki John Foster Dulles.

Odbudowując hitlerowski potencjał zbrojeniowy, Dulles nie pomija innych „zarobków“. W roku 1927 „stabilizuje“ on finanse rządu Piłsudskiego, i to „stabilizuje“ tak dobrze, że większość polskiego przemysłu i kopalni opanowana zostaje przez kapitał amerykańsko-niemiecki. Z kolei prywatnie lub urzędowo — zależnie od okoliczności — „doradza“ Dulles rządowi Niemiec, Norwegii, Danii, Finlandii, Chili, Urugwaju, Kolumbii, Chin i Japonii, to znaczy rządów tych wszystkich krajów, w których opanowaniu monopolistów z Wall Street od dawna byli zainteresowani.

Niezmiennie zajęty Dulles nie zapomina o swojej firmie. W roku 1939 firma „Sullivan & Cromwell“, reprezentująca interesy gen. Franco przeprowadza w rządzie amerykańskim przyznanie hiszpańskiemu faszystom 6.500.000 dolarów w srebrze, które zdeponowane zostały w Nowym Jorku przez hiszpański rząd republikański.

Sympatia i podziw do faszystowskich dyktatorów znalazły wyraz w wydanej przez Dullesa w 1939 roku książce „War, Peace and Change“ (Wojna, pokój i przemiany), w której wielbi „superdy-

namicznych“ ludzi — Hitlera, Mussoliniego i japońskich militarystów. Gdy Hitler napadł na Polskę, Dulles grzmi przeciwko „egoizmowi Polaków“, którzy nie chcieli się zgodzić na „słuszne żądania zmiany granic zachodnich“. „The senseless struggle“ — bezsensowną walką nazwał wówczas Dulles przeciwstawianie się roszczeniom Hitlera. Występując jednak przeciwko Polsce, nie zapomniał Dulles „zatroszczyć“ się o sprawy polskiego złota wywiezionego za granicę, pełniąc funkcję „doradcy“ rządu londyńskiego. W ten sposób pilnował Dulles interesów amerykańskich monopolistów, którzy liczyli na swój powrót po wojnie do polskich kopalń, fabryk i hut.

Gdy John Foster „doradzał“ rządowi londyńskiemu, jak najlepiej ulokować polskie złoto, brat jego Alien W. Dulles prowadził w Szwajcarii rozmowy z przedstawicielami Hitlera, zapewniając księcia Hohenlohe, że zgadza się z organizacją Wielkich Niemiec, w których skład wchodzić miała również... Polska.

W tym samym czasie trzeci członek rodu Dullesów, Eleanor Dulles, snuła w Departamencie Stanu plany podziału Polski między Wielkie Niemcy i Wielką Ukrainę, dwa twory amerykańskich kolonizatorów.

PLAN X, KOREA I ŚMIERĆ ATOMOWA

Pelen podziwu dla faszystów wszelkiej maści, nie zapomina Dulles o własnym kraju. Szykując się do „wielkiej akcji politycznej“, Dulles opracowuje statut i jest jednym z organizatorów faszystowskiej organizacji amerykańskiej „America First“. W ponurym gmachu firmy „Sullivan & Cromwell“ odbywają się pierwsze spotkania „wodzów“ bojówek „Ameryka przede wszystkim“. Zresztą ten protestancki kaznodzieja i przyjaciel Watykanu nie ogranicza się do uczestnictwa w jednej tylko faszystowskiej organizacji amerykańskiej. Z dumą obnosi on złotą odznakę „kawalera“ Ku-Klux-Klanu, osławionej organizacji amerykańskich rasistów.

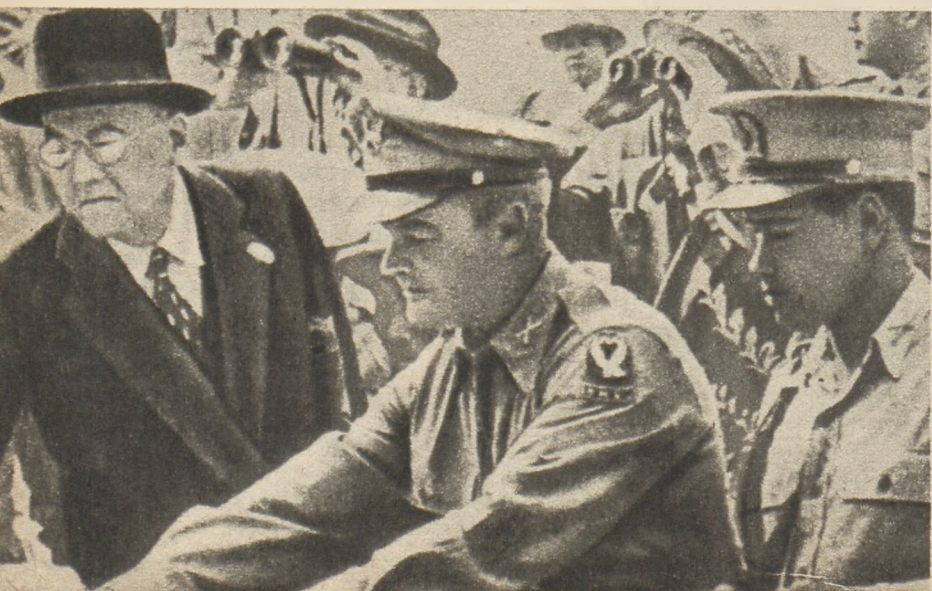
Rok 1945 staje się początkiem wzmożonej aktywności „świętej krowy“. John Foster Dulles staje się zakulisowym kierownikiem amerykańskiej polityki zagranicznej. Swoje credo polityczne wyłożył Dulles w książce pod tytułem: „War or Peace“ (dosłownie — „Wojna czy pokój“, słuszniej jednak książka ta powinna się nazywać — „Wojna przeciw pokojowi“). Na stronie 239 znajdujemy taką „złotą myśl“: „Nasz rząd musi troszczyć się o bomby i bazy, i to o jak największą ilość“. A w innym miejscu dodaje: „My Amerykanie traktujemy wojnę jako pewnego rodzaju zawody bokserские. Gdy jesteśmy pewni k. o. — cel nasz został osiągnięty“.

6 maja 1948 roku w ekskluzywnym klubie nowojorskiej finansjery, w „Bond Club“, odbyło się zamknięte zebranie. Tego dnia nie wszyscy bywacy tego klubu mogli się doń dostać. Za obitymi wejściami drzwiami zasłoniętymi czerwona kotarą obradowali przedstawiciele największych amerykańskich monopolii. Zebraniu przewodniczył John Foster Dulles, który oświadczył: „Powinniśmy stworzyć organizację, która wszystkie siły poświęci zagadnieniu obrony niemilitarnej, podobnie jak minister wojny stoi na czele organizacji obrony wojskowej“. Dulles szczegółowo wyłożył swym przyjaciółom program „planu X“, centrali szpiegostwa i dywersji. Za radą Dullesa na czele organizacji „planu X“ stanęli hitlerowscy generałowie Guderian i Halder oraz szef G-2, amerykańskiego II oddziału sztabu, generał Chamberlain. Cele „planu X“ cynicznie wyłożył „US News and World Report“ pisząc: „W ramach tego planu utworzone będą silne oddziały pod dowództwem amerykańskim. Zachęcałoby się do zabijania czołowych działaczy komunistycznych. Agenci spuszczeni na spadochronach do Europy Wschodniej (Polski, Czechosłowacji) użyli byliby do koordynowania akcji antykomunistycznej“. Rozszerzeniem „planu X“ stała się później osławiona „Rada Wojny Psychologicznej“, centrala amerykańskiego szpiegostwa i dywersji przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej.

Ale Dulles nie ograniczył się do „zimnej wojny“. Do spółki ze swym starym przyjacielem i współnikiem MacArthurem — obaj oni posiadają duże udziały w na zawsze straconych dla amerykańskich monopolii kopalniach wólfrazu w Korei Północnej — opracował plany agresji przeciw Korei Północnej — opracował plany „Trzęsivo myślący ludzie wyjaśnili mi — pisze Dulles — że słowa Ewangelii nie odpowiadają dzisiejszym czasom. Dlatego też jestem zdania, że trwały pokój dopiero wtedy będzie zapewniony, gdy zwycięży polityka chrześcijańska“. Probek takiej właśnie „polityki chrześcijańskiej“ pokazał całemu światu Dulles na Korei.

Kiedy przed paru miesiącami amerykańska gazeta „St. Louis Post Dispatch“ rozpisala ankietę pt. „Jaki jest stosunek Amerykanów do bomby atomowej“ — jednym z pierwszych, który zabrał głos, był John Foster Dulles. „Jestem przekonany — pisał — że z moralnego punktu widzenia jest zupełnie obojętne, czy przyczyną śmierci jest bomba atomowa, czy jakaś inna broń. Widziałem Tokio, Hiroszimę i Nagasaki i gdybym musiał między nimi wybierać, wolabym zginąć w mieście, na które zrzucono bombę atomową, aniżeli w mieście zburzonym przez bomby zapalające. Bomba atomowa powoduje o wiele lżejszą śmierć“. Dulles, który tak zachęcająco maluje urok śmierci od bomby atomowej, nie dodał jednak, że woli raczej należeć do tych, co zarabiają na broni atomowej, aniżeli do jej ofiar. Cito cyniczna filozofia „hieny w cylindrze“, Johna Foster Dullesa, obecnego — z łaski Wall Street — ministra spraw zagranicznych „amerykańskiej demokracji“.

Dulles, akcjonariusz straconych dla imperializmu kopalni w Korei Półn., był współautorem agresji przeciwko Koreańskiej Republice Ludowej



nasz fotokorespondent donoszą

KIEROWCY

„W dzisiejszych warunkach transport odgrywa niesłychanie ważną rolę. Jeśli drogi można przyrównać do unerwienia, to wy jesteście krwią, która po nich krąży. Stała gotowość wasza i waszych wozów przyczynia się do tego, że pracownicy Wojewódzkiej Rady Narodowej w każdej chwili mogą dotrzeć do najdalej położonych miejscowości, aby pomagać podległym sobie organom władzy. Poważne przebiegi międzypraprowe, osiągnięte przez was w roku ubiegłym, dokonane zostały dzięki pełnemu zrozumieniu swych obowiązków, co przyniosło naszemu państwu 415.000 złotych oszczędności, za które to pieniądze można kupić 16 nowych samochodów marki „Warszawa“.”

W ten sposób przemawiano do kierowców w Szczecinie, gdzie kilku szoferów przejechało ponad 100.000 km bez kapitalnego remontu. Kierowca Stanisław Musiał przebył na swojej „Skodzie” 167.000 km oszczędzając 60.000 złotych, Godlewski 154.000 km, Trubacz 153.000 km, Główniak 138.000 km, Kleino 134.000 km, Pyć 129.000 km, Wiesfeld



Moment wręczenia odznaczonym szoferom książeczek PKO

127.000 km i Bosoliński — 102.000 km.

Wyróżnieni kierowcy otrzymali książeczki PKO z poważnymi wkładami pieniężnymi, dyplomy i wiele książek. Na zakończenie zebrania przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Państwowym wezwał wszystkich kie-

rowców do współzawodnictwa, ofiarowując jako nagrodę 2 aparaty radiowe.

Kierowcy z innych województw mogą tylko westchnąć: — Ba, ale to nie u nas! Właśnie, dlaczego nie ma być tak wszędzie? Zależy to tylko od was.

St. Cieślak, Szczecin

KASZUBSKI FOLKLOR ZDOBYWA SOBIE ENTUZJASTÓW

W grudniu młodzież „SP” województwa gdańskiego od była kilkudniową naradę połączoną z zajęciami praktycznymi, które objęły redagowanie gazetki ściennych i wspólne lekcje śpiewu. Wśród podjętych przez młodzież uchwał jedna zwraca szczególną uwagę, a mianowicie uchwała o popularyzowaniu folkloru kaszubskiego. Tak się dotąd składało, że tym ciekawym folklorem nasze zespoły artystyczne interesowały się nie wiele. Zna się w Polsce doskonale stroje kurpiowskie, podhalańskie czy krakowskie, ale mało kto mógłby powiedzieć, jak wyglądają stroje kaszubskie, nie mówiąc już o innych wyrobach ludowej sztuki Kaszubów.

Nasze władze wiele już uczyniły, aby folklor kaszubski nie zanikł. Otoczyły opieką ludowych artystów kaszubskich, zorganizowały spółdzielnie trudniące się wyrobami ceramiki kaszubskiej i



Jan Cywiński i Marian Szalański, aktywiści kółek dobrego czytania w 44 brygadzie „SP”

warszaty hafciarskie, ale ze spopularyzowaniem sztuki kaszubskiej było słabo. Dlatego



Ostatnia próba przed występami

inicjatywę młodzieży „SP” województwa gdańskiego powitać należy z uznaniem — Idzie tylko o to, aby te zamierzenia nie były przystojniowym słomianym ogniem. Ruch kulturalny na wsi, mimo że jest zjawiskiem powszechnym, cechuje jeszcze żywiołowość. W zimie rozkwita, ale latem zespoły amatorskie zapadają przeważnie w letarg. To prawda, że mało jest wtedy czasu i trudno zebrać na próby ludzi. Nie można jednak dopuścić do rozpadania się zespołów, w które włożono nieraz wiele pracy. Zapo- biec temu mogą tylko zdolności organizacyjne aktywi-

stów kulturalno-oświatowych, ich zapał i pracowitość.

W amatorskim ruchu artystycznym coraz więcej widzi się młodzieży „SP”. Nie ma dzisiaj wsi, aby jej młodzież nie przeszła w brygadach „SP” szkoły nowego życia. Otóż ta młodzież nie potrafi już żyć bez świetlicy, sportu, kina, teatru. I z niej to wyrastają najlepsi aktywiści kulturalno-oświatowi. Można więc chyba mieć nadzieję, że uchwała tej młodzieży o popularyzowaniu folkloru kaszubskiego w pełni będzie realizowana.

L. Prymaka, Sopot

JESZCZE O LISACH

Na drodze z Ostródy do Łokty znajduje się miejscowość Molza, słynna z hodowli srebrnych i platynowych lisów.

Fermę lisów prowadził tu ob. Aleksandrowicz, który już od 25 lat pracuje w tym zawodzie. Wyhodował on przeszło sześćdziesiąt lisów srebrnych i kilkanaście platynowych. Opiekę weterynaryjną nad fermą sprawuje lekarz Skolimowski z Ostródy.



Ob. Aleksandrowicz przy jednej z klatek

Bolesław Gawel, Olsztyn

WCZEŚNIEJ NIŻ W ROKU UBIEGŁYM

Zyrardowska „Pończoszarnia” przed 40 laty była największą tego rodzaju fabryką w Europie, a może nawet i w świecie. W czasie pierwszej wojny światowej całkowicie zniszczył ją pożar. Odbudowana ze zniszczeń otrzymała już



Alicja Kuźmińska wykonuje 149,5% normy.

inne maszyny i zaczęła produkować nowy również asortyment towarów. Z drugiej wojny światowej wyszła obronną ręką, ale zmienia się z roku na rok, bo podobać musi zapotrzebowaniom na pończochy z najcięższej przędzy, nieznanym dawnym elegantom. Zyrardowskie Zakłady Przemysłu Pończosznego mają więc trudności techniczne, ale pomimo to bez opóźnień wykonują dzienne plany produkcyjne.

Załoga „Pończoszarni” to w większości młodzi zetempowcy, którzy starają się dorównać w pracy starym, doświadczonym pończosznikom. Wzorem i przykładem dobrej robotnicy jest młoda Alicja Kuźmińska, która pracuje na 3 maszynach, a zamierza przejść na obsługę 4 maszyn, czego w Polsce nigdzie jeszcze dotychczas nie praktykowano. Wysoki procent wykonywanej normy zawodnicza Kuźmińska stosowanej przez siebie metodzie zandarowej.



Codzienna narada produkcyjna kierownictwa

Również dobre wyniki osiąga Danuta Staszczak, przewodnicząca ZMP, która osiąga 141% normy.

Zyrardowskie pończochy rozchodzą się po całym kraju, idą także na eksport. Trzeba więc stale czuwać nad jakością produkcji. Dlatego często odbywają się krótkie narady nad zagadnieniami produkcyjnymi każdego dnia. W naradach tych uczestniczą dyrektorzy: Michałak i Radomski, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej — Weronika Nowicka, kierownik personalny — Jan Barzeć oraz przewodniczący ZMP — Wł. Kraszewski.

Załoga „Pończoszarni” pragnie w roku bieżącym wykonać plan jeszcze wcześniej niż w roku ubiegłym.

Z. Rastawicki, Zyrardów



Danuta Staszczak przy pracy.

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU NA NAJLEPSZĄ FOTOKORESPONDENCJĘ

Na ogłoszony przez nasz dział (46 numer „Świata” — rok 1952) konkurs wpłynęło 85 korespondencji. Sąd konkursowy po rozpatrzeniu całości materiału przyznał:

I NAGRODĘ — APARAT FOTOGRAFICZNY — Andrzejowi Markiewiczowi, Gitycko,
II NAGRODĘ — TECZKĘ SKÓRZANĄ — Tomaszowi Szymaszkowi, Olsztyn,
III NAGRODĘ — PIÓRO WIECZNE — Stanisławowi Kasprkowski, Warszawa, oraz wyróżnienia:

Komplet dzieł Słowackiego — Leonardowi Elińskiemu, Kraków,
Komplet dzieł Mickiewicza — Zdzisławowi Okuniewskiemu, Warszawa,
5 tomów dzieła Aragona „Komuniści” — Feliksowi Praszczałowi, Biała Podlaska,
Album: „Piękno Polski Ludowej” — Halinie Jaroszewskiej, Szczecin,
Album „Polska Ludowa i jej młodzież” — Stefanowi Cieślakowi, Szczecin.
Poza konkursem oprawny komplet „Świata” przyznano Janowi Nogajowi, Katowice, za korespondencję „Wychowawca”.

W przyznaniu nagród wzięto pod uwagę również i te korespondencje, które z braku miejsca nie ukazały się drukiem.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

„POMOC ZIMOWA” DLA PTAKÓW



W Katowicach komisja, opiekująca się parkiem im. Kościuszki, postanowiła rozmieścić na drzewach karmiki i budki legowe dla ptaków.

Komisja ta wezwwała młodzież szkół katowickich do współpracy i należało sądzić, że apel ten nie zostanie bez echa. Byłoby jednak jeszcze lepiej, gdyby i inne ośrodki miejskie wstąpiły w ślady Katowic. Ptactwo, zamieszkujące parki miejskie, nie powinno wśród zimy marznąć i głodować.

Tad. Raepkiewicz, Katowice

FOTOGRAFIA NA CODZIEN BARWOCZUŁOŚĆ

Oko ludzkie inaczej odczuwa kolory aniżeli emulsja fotograficzna. Oko ludzkie jako najjaśniejszy przyjmuje kolor żółty, emulsja — niebieski. Sposób odtwarzania przez emulsję barw fotografowanych przedmiotów nazywamy przekładnią kolorów.

Emulsja fotograficzna powinna odtwarzać barwy w takiej skali tonalnej, w jakiej je odczuwa oko ludzkie. O tę właśnie wierną przekładnię barw toczyła się od dawna w laboratoriach chemicznych walka, która dziś niemal całkowicie jest już wygrana.

Pierwotnie emulsja fotograficzna reagowała tylko na barwy niebieską i fioletową — wszystkie inne kolory odtwarzała na zbyt ciemno. Emulsja ta, zwana „ślepa”, używana jest dziś tylko do wyrobu papierów fotograficznych, do kopiowania przezroczy i reprodukcji jednobarwnych.

Przez wprowadzenie do emulsji ślepej odpowiednich barwników, fotochemicy uzyskali stłumienie jej nadmiernej wrażliwości na barwę niebieską i fioletową, a uczuli ją na kolor żółty. W ten sposób nowy rodzaj emulsji uczulony został też na kolor zielony, powstający przez zmieszanie kolorów niebieskiego i żółtego. Lecz nowa emulsja, zwana ortochromatyczną, była niemal całkowicie nieczuła na kolor czerwony.

Dopiero współczesna emulsja panchromatyczna, mniej wrażliwa na działanie promieni niebieskich, a doczułna na kolor czerwony, daje przekładnię barw zbliżoną do odczuwania kolorów przez oko ludzkie. Jedynie jeszcze kolor zielony oddawany jest przez tę emulsję nieco zbyt ciemno. Dlatego też w fotografii krajoobrazowej stosujemy filtr jasnozielony — na przykład tzw. uniwersalny: żółto-zielony — który rozjaśnia nam zielenie, a nieco tłumi działanie promieni niebieskich.

Emulsje panchromatyczne o najwyższej czułości, jak np. Isopan SS czy Ultra-Rapid wytworzy „Agfa”, są nieco przeczułone na kolor czerwony, który odtwarzają zbyt jasno. Tego rodzaju emulsje nadają się specjalnie do zdjęć przy świetle sztucznym, które obfituje w promienie o barwie pomarańczowej.

ODPOWIEDZI

HP, Łowicz. — Z załączonego do listu odcinka filmu trudno ustalić przyczynę wadliwego negatywu. Nie jest to jednak przeświecenie, lecz niedoświetlenie części negatywu, którego powodem może być częściowe przysłonięcie obiektywu (palcem) lub zacinanie się migawki szczelinowej. Oskłone przeciwskłoneczne należy stosować stale, gdyż obcina niepotrzebne promienie, padające z boku na przednią soczewkę obiektywu. Samowyzwalacz można zastosować łącznie z wężymkiem wkładanym w gwint, znajdujący się na kadłubie aparatu.

Zb. Łazowski, Lublin. — Zarówki „Tungsgraphot” do niedawna jeszcze można było nabyć we wszystkich sklepach fotograficznych i elektro-technicznych. Obecnie ponownie odczuwa się ich brak na rynku, lecz zapewne brak ten jest tylko przejściowy.

BYŁEM ŚWIADKIEM KATASTROFY...

A. M. Weltmann, sekretarz generalny holenderskiego związku b. więźniów politycznych, który przybył niedawno do Polski, pozostaje pod bezpośrednim wrażeniem katastrofy żywiołowej w Holandii. W wywiadzie udzielonym przedstawicielowi naszej redakcji opisał straszliwe skutki powodzi i karygodną postawę rządu holenderskiego, który świadomie nie czynił nic, by zapobiec klęsce, która spowodowała śmierć tysięcy osób.

— Czy, zdaniem pana — pytamy — można było uniknąć tej straszliwej klęski?

— Oczywiście, że tak. — Odpowiada Weltmann. — Rząd holenderski gdyby tylko chciał, mógłby nie dopuścić do tego co się wydarzyło.

— W jaki sposób?

— Od dwóch lat nasi inżynierowie i technicy wodni ostrzegali, że zagraża nam powódź i domagali się od rządu wyasygnowania specjalnych funduszy na wzmocnienie tam. Rząd nie tylko nie przeznaczył na to niezbędnych sum, ale

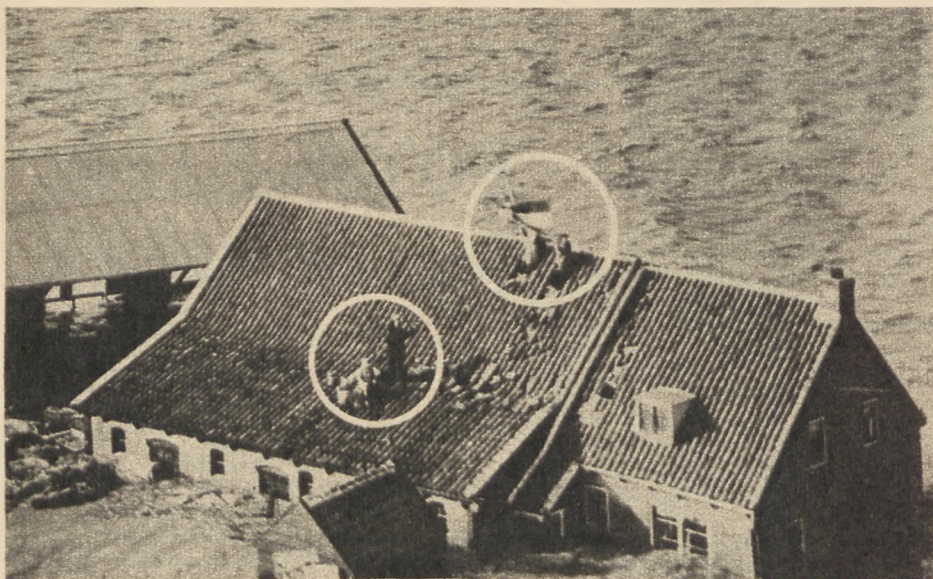
corocznie skreślał jeszcze sumy pieniężne konieczne dla konserwacji istniejącego już systemu umocnień. Nic dziwnego zatem, że — zwłaszcza przy tak silnym sztormie jak w tym roku — cały nasz i tak już zaniedbany system wodny uległ zniszczeniu, co pograżyło kraj w nieszczęściu, jakie nie zdarzyło się od setek lat.

— Czy sytuacja ekonomiczna waszego kraju jest aż tak ciężka, że rząd nie był w stanie wyasygnować pieniędzy potrzebnych dla zażegnania katastrofy?

— Nic podobnego. Ale idzie o to, że rząd nasz pod naciskiem Waszyngtonu



Brouwershaven — jedna z wielu miejscowości dotkniętych katastrofą. Od dwu lat inżynierowie i technicy ostrzegali rząd, że tamy ochronne wymagają naprawy...



Na dachach domów próżno oczekiwano pomocy. Wojsko rozpoczęło akcję ratowniczą o dwa dni za późno i nie było odpowiednio przygotowane do walki z żywiołem.

podjął na konferencji w Lizbonie takie zobowiązania co do forsownych zbrojeń, że na pokojowe cele nie starczyło już środków.

— Jak wielkie są rozmiary klęski?

— Kiedy w dniu 5 lutego wyjeżdżałem do Polski, szóstą część obszaru Holandii była zalana wodą. Morze zniosło około 15 olbrzymich tam. 200 tys. hektarów ziemi uprawnej uległo zniszczeniu, nie mówiąc już o tysiącach domów mieszkalnych, gospodarstwach i znajdującym się w nich dobytku. Doniesiono już wtedy o śmierci dwu tysięcy ludzi.

— Czy powódź rozprzestrzeniła się tak szybko, że nie było czasu pośpieszyć z ratunkiem?

— Był jeszcze czas, i wtedy właśnie rząd nasz postąpił karygodnie. Jak bowiem wiadomo, Holandia posiada tysiące statków i łodzi rybackich. Na pierwszą wiadomość o zbliżającej się katastrofie wystarczyło więc wezwać ludność do akcji ratunkowej, zorganizować łączność, a wtedy na pewno udałoby się uratować większość straconego już dziś dobytku i, co najważniejsze — ludzi.

Rząd jednak nie uczynił tego, ale przeciwnie, zapowiedział przez radio, że współdziałanie ludności jest zbędne, gdyż nadchodzi już pomoc wojsk atlantyckich, to znaczy angielskich, francuskich, belgijskich i — rzecz znamieną — niemieckich. Tak więc przy ogniu katastrofy rząd pragnął upiec swoją pieczę: zrobić propagandę dla wojsk atlantyckich. W ten sposób po raz pierwszy od zakończenia wojny znalazł się z powrotem na terenie Holandii oddział niemiecki. Kiedy ludność próbowała rozmawiać z nimi w ich języku, odpowiadali: „Proszę mówić po holendersku — my was dobrze rozumiemy”. Dowiedzieliśmy się, że oddziały te składały się z tych samych hitlerowców, którzy w czasie wojny okupowali nasz kraj.

Zaangażowanie wojsk atlantyckich — ciągnął dalej Weltmann — zwiększyło jeszcze rozmiary katastrofy, bo pomoc ich przyszła za późno o 2—3 dni, i nie posiadały one takiej sprawności, jaką ma nasza ludność, przyzwyczajona do nieustannych zmagani z żywiołem morza. Prócz tego rząd, odrzućwszy współpracę z ludnością, nie orientował się, co dzieje się w kraju, i nie mógł dobrze zorganizować pomocy dla najbardziej zagrożonych odcinków. Tak np. nie wiedział o zatopieniu razem z ludnością całej wyspy Duiveland, gdzie ocalała tylko jedna wioska Ooligensplaat, uratowana zresztą tylko dzięki spontanicznie zorganizowanej pomocy ludności. Wbrew woli rządu ludność jak mogła tak śpieszyła z pomocą. Rozmawiałem z rybakami, którzy z narażeniem życia ratowali powodzią przez 48 godzin, bez chwili wytchnienia. Jeden z nich na małej łódce wyratował 400 osób. Pewien robotnik opowiadał mi, że przez 14 godzin przebywał w wodzie powyżej pasa. Oprócz doraźnej pomocy ludzie pracy przekazywali później dla poszkodowanych pieniądze, ubrania, narzędzia pracy.

— Jakie — zdaniem pana — mogą być następstwa polityczne tej strasznej katastrofy w Holandii?

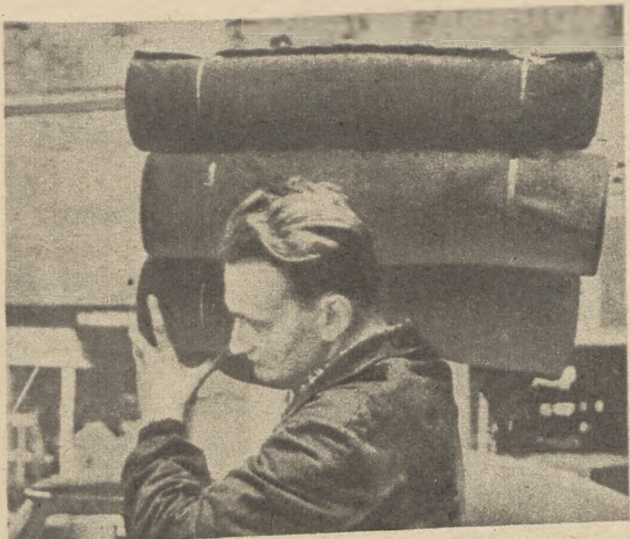
— Ostatnie wydarzenia całkowicie zdemaskowały zgubną politykę rządu. Dlatego spodziewam się, że przybierać będzie na sile walka narodu o pokój, wolność i niezawisłość mojej ojczyzny.

Rozmowę przeprowadził
TEOFIL WITEK



OOLIGENSPLAAT. MIESZKAŃCY TEJ WIOSKI URATOWALI SIĘ TYLKO DZIĘKI BOHATERSTWU RYBAKÓW.

SZYBKA OBSŁUGA



Mycie okien i podłóg, zamiatanie schodów, trzepanie dywanów, dzwiganie towarów, roznoszenie reklamowych plakatów — oto normalne zajęcia za-



robkowe studentów zachodnio-niemieckich uniwersytetów. Utrzymują się oni przy życiu i zdobywają gotówkę na uiszczenie wygórowanych opłat uczelnianych drogą wykonywania dorywczych robót fizycznych, do których najmują się za pośrednictwem specjalnej agencji „Studentischer Schnelldienst” (Szybka obsługa studencka). Ponad 60 procent studentów zachodnio-niemieckich korzysta z usług tej agencji. Zarobki wystarczają ledwie na głodową egzystencję. Mimo to — co dzień przy okienkach agencyjnych tłoczą się dziesiątki osób, poszukujących jakiegokolwiek pracy.

„Czarnych wieszać trzeba publicznie, więzkami po dwudziestu pięciu, w oczach ich ziomeków, a potem naocznych świadków egzekucji posyłać do rezerwatów plemienia Kikuyu, żeby rozpowiedzieli tę radosną wieść”. Są to słowa pułkownika Ewarta Grogana, członka Rady Ustawodawczej kolonii Kenia. Pan pułkownik wyraził w jaskrawej formie to, co stanowi myśl przewodnią obecnej polityki terroru, uprawianego z nieludzką brutalnością przez Brytyjczyków w Kenii.

Szubenica, na której wieszani są czarni mieszkańcy Kenii, ustawiona została w pośrodku obozu koncentracyjnego w Thomson Falls. Tysiące uwięzionych tam ludzi ze szczepu Kikuyu mają ją bezustannie przed oczyma. Gwałtowne protesty opinii brytyjskiej przeciwko publicznym egzekucjom skłoniły władze kolonialne do... ustępstw. Szubenica osłonięta została częściowo deskami. Rzecznik gubernatora Kenii mógł więc oświadczyć z czystym sumieniem, że „egzekucje wykonywane są obecnie w specjalnie przystosowanym do tego miejscu”.

SZUBENICA ZA DESKAMI



Polityka imperializmu brytyjskiego dawno już ściągnęła na Wielką Brytanię miano „perfidnego Albionu”. Nie bez racji.

MASKOTKA MORDERCÓW

To nie okładka programu podrzędnego kabaretu ani tancbudy, lecz odbitka oficjalnego formularza sprawozdawczego, który każdy pilot amerykański w Korei otrzymuje w chwili startu, a zwrócić ma wypełniony po powrocie do bazy. Formularz zawiera rubryki: „godzina startu, godzina lądowania, zużycia amunicji, doznane uszkodzenia i straty, obiekty zbombardowane, etc”. Rozdziana girlaska na pocisku dodawać ma zapewne animuszu amerykańskim piratom powietrznym, pustoszącym miasta i wsie Korei. „Dowcip” godny gangsterów.



NYLON

DOKOŃCZENIE

JERZY JANICKI

5)

WIECZOREK zagryzł zęby; Lesiński natychmiast zareplikował — Welt dotknął nie tylko Wieczorka, ale wszystkich wykonawców:

— Zrobione jest dobrze, tu przy projektowaniu trzeba było myśleć, a nie udawać inżynierów.

Czwarta rano. Poprzez uchylone drzwi hallu przebiega świat. Cienie na posadzce robią się blade; maszyny tylko grają nieprzerwanie.

Lesiński najlepiej wytrzymuje zmęczenie. Wszyscy obecni od pięćdziesięciu godzin nie zmrúżyli oka. Mężczyźni są zarośnięci i brudni. Lesiński żartuje:

— Trzeba to dzisiaj skończyć, bo nam brody do pasa wyrosną.

Kolarz zaproponował: — Spróbujmy filier zalać bezpośrednio płatkami. Głowę daję, że wyjdzie.

— Co mi po waszej głowie. Ja włókna potrzebuję.

Kolarz nie zraża się cierpką uwagą.

Poprawia okulary i jeszcze raz decyduje się:

— Puście pompkę, spróbujemy dłużej czekać.

Ktoś powiedział: „zatrze się”, ale zamilkł. Milczeli wszyscy: innego wyjścia nie było. Wieczorek dotknął dłonią sprężynowego uchwytu. Pompka zaczęła się obracać.

Minęły trzy minuty. Ludzie oddychali głośno i nerwowo. Pompka nie zacierała się; minęła czwarta minuta. Oczy mleli zmęczone, niewyspane, a nitka jest przezroczysta i cienka.

Zauważyli ją dopiero, kiedy już miała kilkanaście centymetrów.

Była wtedy czwarta trzydziestki. Wieczorek objął Kolarza ramionami. Inżynier jęknął z wysiłku. Lesiński całował się z Superson, Konieczny z Welttem. Śmiali się jak małe dzieci.

A dwanaście nitek polskiego stylu spływało powoli w dół i układało się w węzowe zwoje na kamiennej posadzce.

Pierwszego lipca postanowili wszyscy: za tydzień oficjalne otwarcie. Dyrektor Ejchart przywiózł z Warszawy wiadomość, że otwarcia dokona premier Cyrankiewicz. Uzgodniono, że w imieniu robotników budowy fabrykę przekazywać będzie do produkcji Longin Lewicki. Przyjmować miał Władysław Wieczorek.

Lewicki uczył się w domu tekstu przemówienia. Ach, jak wiele miał do powiedzenia. O sobie, o swojej obrabiarce wygrzebanej z ziemi i o nieprzespianych nocach, o ludziach. Kiedy porządkował to wszystko w pamięci i kiedy doszedł do tego momentu, zastanowił się: dlaczego on ma przemawiać? — zwyciężył kolektyw. Potem jednak biegł myślą dalej: nie będzie mówił o znaczeniu fabryki; kombinat sam przemówi metrami perlistej nici; trzeba mówić o ludziach, o ich pragnieniu zwycięstwa, od ich startu przy dwóch imadłach i całej drodze walki. Wtedy przypomniał sobie, jak kolektyw kruszał i łamał się, zanim stał się zwarty i silny, jak dobrze scementowany mur. Wówczas zdecydował: powie towarzyszowi premierowi o Mozołu; powie tak: „Wiara tego człowieka trzymała całą załogę i pomogła zwyciężyć”.

Tego dnia przyjechał przedstawiciel ministerstwa. W gabinecie dyrektora podał Koniecznemu list. Konieczny wziął z jego rąk kopertę i schował ją do kieszeni marynarki; nie chciał czytać w obecności zwierzchników. Ejchart uśmiechnął się i powiedział:

— Przeczytajcie, przeczytajcie, to do was.

Koperta była nie zaklejona; rozek we-

pchnięto tylko do wewnątrz. Konieczny wyjął złożony we czworo arkusz i zaczął czytać.

Ejchart i gość z Warszawy śledzili go zza biurka.

— To chyba niemożliwe — powiedział Konieczny. Położył pismo na biurku; ręka mu drgała.

Ale możliwe jest wszystko; szczególnie pojęła to załoga gorzowskich zakładów. Wiadomość o mianowaniu Koniecznego naczelnym dyrektorem fabryki obleciała z miejsca cały teren.

Sześciolatka — jak dobra gleba — rosła na niej kombinaty i ludzie. Wyrosła oto w tempie nieznanym dotąd najnowocześniejsza w Polsce i jedna z największych w Europie fabryka sztucznego włókna. Do końca Planu Sześcioletniego produkcja gorzowskiego kombinatu wzrosła dwudziestokrotnie.

Tak wyrosła fabryka: wspaniała fabryka; a na niej rósł człowiek — Bohdan Konieczny. Sam wybrał drogę swego życia, wówczas, kiedy postanowił wyjechać do Gorzowa. Później drogę pokazywała mu partia i kolektyw.

Ślusarze z warsztatów chodzili dumni. Kiedy Konieczny pokazał się w warsztacie, rzucili się w jego stronę. Lewicki zatrzymał tokarkę i powiedział:

— Ale pół litra, Bodziu, leci z ciebie z tej okazji.

Odwrocił się i włądował czarny kułak pod okulary: podobno opilek wleciał mu do oka. Ale wszyscy patrzyli zdziwieni: nikt jeszcze nie widział, aby Longin Lewicki pił wódkę, ani aby kiedyś płakał.

Były to jednak dni, w których śmiech i płacz znaczyły w Gorzowie to samo: radość i szczęście.

Gniew ludu (13)

STANISŁAW KOWALEWSKI

Ilustr. BARBARA PNIEWSKA

Zastanawia się przez chwilę, jakby usiłował znaleźć najcelniejszy sposób na złowienie niewygodnego świadka. Nic mu jednak nie przychodzi do głowy. Od czego są zresztą podwładni? Patrzy z chłodną życzliwością na Horna.

— Pokpił pan sprawę z tym cmentarzem. Zamiast zrzecznej, gładkiej akcji — bunt. Nasza robota nie znosi hałasu.

— Próbowałem wszystkich środków — zaczyna żarliwie Horn, ale nadinspektor przerywa mu ruchem ręki.

— Co do tego dziennikarza? To trzeba go jednak dostać. Tak, to człowiek z narwiskiem, rozumie pan? Podżeganie do buntu... Na ten haczyk go złapać. No cóż, chyba to zadanie potrafi pan wykonać?

Horn stoi znów przed gromadą.

— Wydadcie nam podżegaczy, a wasze postępowanie będzie ocenione odpowiednio łagodniej. Wiecie, ludzie, co to jest opór władzy? Wiecie, jak się za to karze? Jeszcze nie było takiego, który by wygrał z policją. Porozumiałem się z władzami. Sprawa waszego cmentarza raz jeszcze będzie rozpatrzona. To jedno. Ale nas, policję, obchodzi teraz co innego. Opór władzy! Żądam natychmiastowego wydania tych, którzy was nakłaniali do buntu. Podżegaczy!

— Jacy podżegacze? — woła stary Johansen. — Gromadą my tu decydujemy. Gromadą bronimy cmentarza.

— My wszyscy tu podżegacze! — krzyczą za nim inni.

Teraz, kiedy widzą, że policja nie myśli ponawiać ataku, uważają swoją sprawę za wygraną i groźby Horna z każdą minutą tracą na wartości.

— Za podżegacza policja uważa dziennikarza Kormorana. Człowieka spoza waszej gromady, człowieka dla was obcego, który zamiast was namawiać do ustąpienia, zachęcał do buntu. Policja żąda natychmiastowego wydania Piotra Kormorana.

Horn patrzy na tłum. Widzi, jak dewaluują się jego słowa i nimb jego policyjnej potęgi. Już na usta stojących w pierwszych rzędach wybiegają drwające, obraźliwe uśmiechy. Ale kapitan nie daje za wygraną.

— Redaktorze Kormoran — woła w stronę tłumu. — Chyba pan słyszy moje słowa. Tak czy owak, dostanie pana policja i odpowie pan za swoje sprawy. Ale czy chce pan narazić jeszcze innych? Chce pan wciągnąć tych ludzi w swoje machinacje, żeby za pana szli na śledztwo i do więzienia?

Piotr od dłuższej chwili słyszy wezwania policjanta. Wie dobrze, że tym razem idzie o jego i tylko o jego osobę. Niewygodni świadkowie muszą zniknąć.

Marta znajduje się obok. Kormoran wyjmując z kieszeni notes i ołówkiem kreśli na kartce parę słów. Zwraca się do dziewczyny:

— Pani pamięta, o czym mówiliśmy wczoraj wieczorem?

— Pamiętam — odpowiada Marta. Ani ona, ani nikt z gromady nie domyśla się w tej chwili, że dziennikarz postanowił dobrowolnie oddać się w ręce policji. Pogrożki Horna traktują ludzie ze spokojem, a nawet humorem. Nikt nie myśli być posłusznym żądaniom policjanta. Uważają to za jeszcze jeden kolejny podstęp, któremu należy się przeciwstawić, tak jak wszystkiemu co mówi i działa w tej sprawie policja.

— Pani — mówi szybko Kormoran — tu jest adres mego mieszkania. Tam jest moja żona i dzieci. Pamięta pani o naszej rozmowie... Ja liczę na panią, na was wszystkich.

Marta unosi wysoko czarne, wąskie brwi.

— Co pan chce zrobić?

— Idę do nich — wskazuje głową w kierunku Horna i policji.

Marta milczy, jakby dobrze nie rozumiała, o co dziennikarzowi chodzi.

— Zaopiekujcie się moją żoną i dziećmi. — Wkłada w ręce Marty kartkę z zapisanym adresem.

Nie ogląda się już na dziewczynę i energicznie toruje sobie drogę wśród ludzi.

Jest już blisko pierwszych szeregów, kiedy na ramię spada mu ciężka dłoń. Widzi obok siebie średniego wzrostu mężczyznę z ciemną, przetykaną siwizną czupryną i dużymi, ciemnymi oczyma. Piotr poznaje go. To ten sam, który niedawno przemawiał, ten, który mówił o Piotrze i jego historii.

— Co pan chce zrobić? — pyta Karelsen.

Piotr wzrusza ramionami.

— Idę do nich — wskazuje na policję.

— Po co? — pyta Marek. Teraz dziennikarz spostrzega strój tamtego. Wytarty, stary kombinezon, wystający z kieszeni metr i kolorowy ołówek. Czy jest sens odpowiadać temu człowiekowi? Ale już obok nich jest Marta.

— On nie może tego zrobić — mówi do Marka.

— Oczywiście — potwierdza Karelsen. — Pan mnie nie zna — mówi do Piotra. — Ale mnie już o panu opowiedzieli.

— Kto pan jest? — rzuca niecierpliwie Piotr.

— Drwal Karelsen — spokojnie odpowiada Marek. Patrzy przez chwilę na kartkę, którą mu pokazała Marta. Kartka z adresem rodziny Kormorana.

— Jak będzie trzeba, zaopiekujemy się pańską rodziną. Ale teraz musi pan zrozumieć, że nie wolno panu oddawać się w łapy tamtym.

— Nie chcę, by ktokolwiek tu za mnie odpowiadał — mówi Kormoran. — Co mogłem to zrobić, żeby pomóc waszej sprawie. A zresztą, wyście zrobili dla mnie jeszcze więcej.

Kormoran rzuca to wyznanie w twarz Marka. Niech wie, że rachunki z obu stron są wyrównane. Ale Marek nie zdejmuje swej twardej, ciężkiej ręki z ramienia dziennikarza. I teraz dopiero Piotr spostrzega spokój i pewność, jakie przenikają słowa Marka, teraz spostrzega mądre, przenikliwe spojrzenie jego oczu.

— Idę — rzuca Piotr i chce usunąć ramię spod ręki drwala.

— Jeszcze chwilę — mówi tamten. — Nikomu pan nie pomoże, oddając się w ręce policji. Nasza siła, to kiedy jesteśmy razem, kiedy tamtym nie uda się niczego u nas zepsuć, niczego uszkodzić. Tu będą odpowiadać wszyscy albo nikt.

Dopiero w tej chwili Piotr pojmuję, że ma do czynienia z kimś, kto myśli o losach całej gromady, kogo w potrzebie wszyscy tu będą słuchać.

Horn jeszcze raz próbuje ludzi podejść groźbami i perswazją.

— Obiecujemy odnieść się do całej sprawy z najdalej idącą wyrozumiałością — zapewnia. — Wydadcie ludzi obcych, którzy przybyli tu, by siać zamęt.

— Kogo mamy wydać? — woła Ola. — Niewinnego człowieka?

— Będziemy bronić nie tylko cmentarza, ale każdego, kto razem z nami walczy o słuszną sprawę — mówi Tomasz.

I kapitan po raz ostatni kapituluje. Wojsko odmaszerowało już dawno. Teraz odjeżdża konna policja. Słychać stuk podków po kamienistej drodze. Potem widać chowających się pod brezentami policjantów. Rozlega się warkot zapuszczanych motorów.

Ludzie rozmawiają teraz, śmieją się, śpiewają. Zwycięstwo, zwycięstwo!

W tej chwili większość nie myśli o tym, co przyniesie jutro. Większość tylko się raduje. Oto walczyli za dobrą sprawę i zwyciężyli.

— I dlatego jesteście nam potrzebni — mówi Marek do Kormorana. — Widzieliście, co się tu działo, reszty dowiecie się od ludzi. Chcemy, żebyście wszystko to opisali. Żeby było prosto i prawdziwie. Żeby to mogli czytać ludzie u nas w całym kraju, żeby to mogli czytać ludzie w innych krajach.

— Kto to wydrukuje? — pyta Piotr i w myśli gromi siebie za to małoduszne pytanie.

— Mamy swoje pisma i tu w kraju, choć się je prześladowa i ściga. Mamy wielkie pisma za granicą.

Do Kormorana podchodzi Ola.

— Zostajecie, panie, z nami — mówi tonem przyjaznym i stanowczym, jakby tymi słowy przyjmował Piotra do swej wypróbowanej gromady.

A Marek mówi cicho:

— Będziecie mogli znów pisać prawdę.

Przyszły dni coraz jaśniejsze, coraz bardziej słoneczne. Morze było ciemnoszafirowe, dalekie. Zniknęły mgły. Okrety, małe jak zabawki, powoli przesuwały się z południa na północ i z północy na południe, ciągnąc na horyzoncie warkocze dymów. Dymy czarne i bure trwały na niebie długo jeszcze po przejściu okrętów.

Bark i kutry rybackie wypłynęły na pełne morze. Kolo brzegów widać było szare i białe żagle, usiłujące złapać któryś z leniwych podmuchów wiatru.

Owce ze wsi połączone w stada i pognano na hale, które pokryły się świeżą, soczystą trawą.

Mijały dni, ludzie ze wsi oddali się swoim zwykłym zajęciom i sprawom.

Cisza była tylko pozorna, większość zdawała sobie z tego sprawę. Byli wprawdzie i tacy, którzy obronę cmentarza uważali za całkowicie wygraną, tym bardziej że ekshumacje ustały i w innych miejscowościach.

W ciągu dnia cmentarz zostawał bez opieki. Prowadziła doń jedyna droga, wiodąca przez całą wieś. Uważano, że w razie zagrożenia zdąży się zawsze z pomocą. W nocy dyżurowano u bram cmentarza.

Kormoran sprowadził żonę i dzieci z dalekiego miasta. Odwiedzał sąsiednie wioski, sporo pracował. Opisał w wielkim reportażu walkę miejscowej ludności o cmentarz radziecki. Zaczął pisać korespondencję z okolicznych wiosek.

Władze nie dawały o sobie znać. Czasem wjeżdżali do wioski dwaj policjanci na rowerach. Policjanci, których wszyscy tu znali. Przybyśże kierowali się do wójta, tak jak to czynili za każdą swą bytnością w wiosce. Potem spokojnie odjeżdżali.

Kiedy pewnej nocy, na szosie wiodącej do wsi, rozległ się przeciągły warkot wielu motorów — ci, którzy mieli lekki sen, i ci, którzy tej nocy czuwali, zrozumieli, że nadchodzi to, na co czekali przez wszystkie dni pozornej ciszy.

Motorów było bardzo wiele. Samochody nie wjechały do wsi, ale zatrzymały się na drodze przy pierwszych domach.

Pierwsi, którzy się obudzili, stukali do okien sąsiadów. Obudzeni ubierali się w pośpiechu. Znow sznury ludzi wypełniły drogę wiodącą na cmentarz.

Ale droga niedaleko za wsią była zamknięta. Od strony gór nadeszły oddziały żandarmerii i policji, odcinając wieś od cmentarza.

Akcja była zorganizowana na wielką skalę. Ludzie ze wsi zrozumieli, że tym razem są otoczeni. Całą wieś otaczał kordon policji.

Chodzili od domu do domu z listami pełnymi nazwisk. Wytwarzali po kolei ludzi, którzy kryli się w ogródkach i zaroślach. Przetrzęsano stajnie i obory, strychy i piwnice.

Rano wieś wyglądała jak wymarła. Na drodze nie widać było nikogo. Za zamkniętymi okiennicami czuwali ci, których tej nocy nie aresztowano.

Na podwórzach czekały ochrypiętymi głosami zmęczone psy. Nie mogły się dotąd uspokoić po czarnych godzinach nocy, kiedy mieszały się krzyki i jęki, nawoływania i groźny szczeł broni. Niepojęne i niekarmione bydło zawodziło ciężkim, żalonym rykiem.

Cmentarz radziecki pozbawiony został obrońców.

Słychać detonacje, od której trzęsą się febrycznie szyby okien w całej wsi. To zniszczono wielki obelisk wzniesiony ku czci poległych żołnierzy.



Na otwartych platformach stoją uzbrojeni policjanci. Po ciąg rusza powoli.

MDM BERLINA



Z tych cegieł wyrosną wielkie domy mieszkalne. W sercu Berlina stanie socjalistyczna dzielnica mieszkaniowa.



Stalinalee — Aleja Stalina to berlińska MDM. Tempo powstawania tej dzielnicy nazywają mieszkańcy Berlina tempem warszawskim. Liczne bloki zostały już wykończone i oddane do użytku ludności.



Ze wszystkich krańców Berlina, wschodniego i zachodniego, ściągają tłumy ludzi, by oglądać nowe, piękne domy w demokratycznym sektorze



Budowniczowie socjalistycznej ulicy Berlina, to obrońcy pokoju.

Potem środkiem wsi przejeżdża długa defilada ciężarówek. Przez szpary w okiennicach czujne oczy widzą platformy pełne ciał poległych. Widzą zuchwałe twarze pijanych policjantów i najemników, którzy im pomagali w niegodziwej robocie.

I wtedy oburzenie przewycięża lęk. Trzaska z hałasem: jedna z okiennic. Wybladła kobieta ukazując się w oknie, woła:

— Hańba!

I znów trzaskają czyjeś okiennice.

I znów głos gniewu rzuca w twarze jadących:

— Psy!

Kawalkada przejechała przez wieś.

Kobiety, dzieci i starcy, i ci z mężczyzn, którzy tej nocy umknęli obławie, wychodzą przed domy.

Wielu idzie ku przystani, gdzie z ciężarówek wyladowuje się na barkę zwołoki poległych. Barka popłynie ku dalekiej wyspie Luna.

Gromada stoi w milczeniu. W tej drodze poległych na wygnanie nie opuści ich żadne z serc stojących tu ludzi. Na dalekiej wyspie nie opuści poległych pamięć gorąca i żarliwa.

W milczeniu rośnie cichy, zawzięty gniew, rośnie nienawiść.

Inna gromada stoi obok stacji kolejowej. Za kordonem policji widać zamknięte wagony towarowe z okratowanymi oknami.

Ale i przez te kraty czuły wzrok osieroconych odnajduje swych bliskich.

— Marta! — woła stary Fold, bo zdaje mu się, że widzi twarz córki.

I stojąca obok Folda żona najstarszego z rybaków, Johansena, mówi:

— Dobrą macie dziewczynę, ojczu Fold. Dzielną dziewczynę. Mówili, że niedawno na skały leciała, bo chłopak ją skrzywdził. A macie... teraz to już nie tamta. Wasza Marta to dzielna dziewczyna.

— Boję się o nią — mruczy stary Fold. — Przecież wiecie, będzie miała dziecko. — I w więzieniu rodzą się ludzie — mówi żona Arnolda. — A dobrze to mieć taką matkę, jak Marta.

I ojciec Fold oddycha z ulgą, jakby to potwierdzenie z ust starej rybaczkii było mu w tej chwili najbardziej potrzebne.

— Marek! Marek! — wołają ludzie. I w oknie widać suchą twarz drwala Karel-sena; obok niej błyskają okulary dziennikarza.

— Na tego najwięcej zawzięci — mówi żona Johansena.

— Trzeba się zająć jego żoną i dziećmi — odpowiada Fold i szuka wzrokiem w tłumie żony Kormorana.

— A Olaf uciekł — szepce ktoś w tłumie.

— Tomasz jest na morzu — mówi inny. — I jego nie złapali.

Lokomotywa krótko gwizdże. Na otwartych platformach stoją uzbrojeni policjanci. Pociąg rusza powoli.

Zaciskają się pięści, kiedy patrzeć na zuchwałe twarze żandarmów i policjantów. Pięści się zaciskają, kiedy pomyśleć o obcych najeźdźcach, którzy jutro, pojutrze wkroczą do cichego rybackiego portu, by uczynić zeń jedną ze swych morderczych baz.

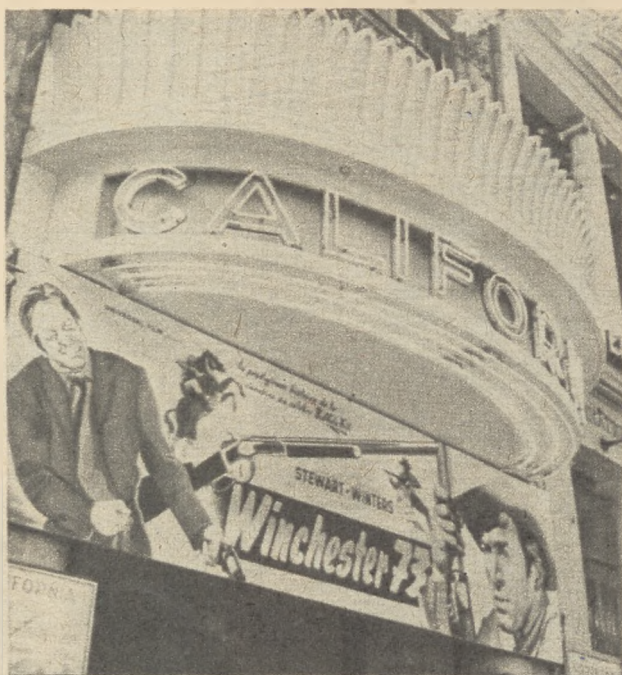
W sercu rozpala się zawzięty, potężny gniew. Gniew, którego nie stłumią fałszywe słowa i obietnice.

Pociąg niknie za skalistym występem fiordu, a tłum ludzi wciąż trwa przy torze. milczący, zawzięty.

Nadejdzie dzień zapłaty. Nadejdzie dzień, kiedy wybuchnie ten wielki, tłumiony przez wieki gniew. Gniew ludu.

KONIEC

HOLLYWOOD ROBI WOJNĘ



...barwne plakaty filmowe mają przyciągnąć widzów. Na zdjęciu reklamuje się film wojenny „Winchester 73”. Ten film nie pokazuje prawdziwego oblicza wojny...



...marynarz amerykańskiej floty, stacjonującej we francuskim porcie, na tle plakatu hollywoodzkiego filmu, gloryfikującego morderstwo, wojnę i gwałt...

POTĘGUJĄCA się w ciągu ostatnich kilku lat agresywność amerykańskiej polityki zagranicznej znalazła odbicie w produkcji hollywoodzkiej „fabryki snów”. Na ekranach kin amerykańskich i zachodnio-europejskich coraz więcej pojawia się filmów gloryfikujących wojnę, wychwalających amerykańskiego supermana, „rozkosze” mordu i gwałtu.

DZIESIECIU SPRAWIEDLIWYCH

Wojna z niemieckim i japońskim faszyzmem dała postępowym reżyserom, producentom, scenografom i aktorom amerykańskim możliwość pokazania na ekranie opinii narodu amerykańskiego, opinii, która w tym krótkim okresie pokrywała się z oficjalną polityką i propagandą amerykańskiego rządu. Należy jednak zaznaczyć, że najlepsze filmy antyfaszystowskie tego okresu były dziełem filmowców, którzy w kilka lat później znaleźli się przed Komisją Badania Działalności Antyamerykańskiej. Jako całość Hollywood nie wniósł prawie nic do sprawiedliwej wojny, którą żołnierz amerykański toczył z faszyzmem w Afryce, Azji i Europie.

Hasłem, które realizować miały amerykańskie filmy „wojenne” było wezwanie do żołnierzy: „Na wojnie odpoczniesz, zabawisz się i zarobisz”. Na 1313 filmów „wojennych” nakręconych w Hollywood w latach 1942-1944, ledwo kilkanaście pokazywało prawdziwe cele i oblicze wojny z faszyzmem.

Producentami filmów antyfaszystowskich była w okresie wojny grupa postępowych reżyserów i autorów (znana pod nazwą „Dziesięciu z Hollywood”) i znakomity reżyser Lewis Milestone. Jeszcze zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, Milestone — twórca niezapomnianego filmu „Na zachodzie

bez zmian” — wyprodukował w r. 1942 film o bohaterstwie norweskich partyzantów — „Sztandar powiewa jeszcze wysoko”. W rok później pojawia się „Ogień na Wschodzie”, w którym pokazana jest walka narodu radzieckiego — a zwłaszcza partyzantów — przeciwko hitlerowskiej okupacji. W 1944 r. Milestone kręci „Więźniów szatana”, dzieje grupy lotników amerykańskich, którzy dostali się do niewoli japońskiej. Głównym motywem filmu jest uświadomienie sobie przez żołnierzy amerykańskich celów sprawiedliwej wojny, jaką toczą przeciwko faszyzmowi. Na specjalne podkreślenie zasługuje postać dziennikarza radzieckiego, który personifikuje solidarność i przyjaźń narodu radzieckiego i amerykańskiego w walce o sprawiedliwość. Ostatnim wreszcie filmem Milestone’a był, nakręcony w r. 1946, „A Walk in the Sun” — „Przechadzka w słońce”, który opisuje tragiczny pochód grupy żołnierzy amerykańskich po wylądowaniu pod Anzie.

Oto „dziesięciu sprawiedliwych” amerykańskiej Sodomy: pisarz i scenarzysta Albert Maltz, autor znakomitych filmów antyfaszystowskich — „Kierunek Tokio” i „Bezbronne miasto”; scenograf Dalton Trumbo, autor reżyserowanego przez Dmytryka filmu „Byliśmy tacy szczęśliwi”; scenografowie — Samuel Ornitz, Herbert Biberman i Ring Lardner; znany dramaturg, teoretyk filmowy, John Howard Lawson, autor filmów „Podróż w nieznane” i „Sahara”; pisarze — Lester Cole i Alvah Bessie, członek Brygady Międzynarodowej w czasie wojny w Hiszpanii, o której napisał kilka książek i autor doskonałego filmu „Prawda o Burmie”; producent — Adrian Scott i wreszcie reżyser Edward Dmytryk, twórca m. in. „Bohaterów Pacyfiku”, wspaniałego filmu o bohaterstwie filipińskich partyzantów walczących z japońskim okupantem i zrealizowanego już po wojnie filmu „Zranione serce”.

Ten ostatni film wart jest szerszego omówienia. Opisuje on tragedię żołnierzy amerykańskich, którzy najlepsze swoje lata poświęcili walce z faszyzmem, a po powrocie do domu, bez pracy i bez nadziei, nie załamują się, lecz w obliczu narastającego w Stanach Zjednoczonych faszyzmu zdecydowali się kontynuować walkę, jaką toczyli na frontach. Bohater filmu, Cliff (Guy Madison), poznał wszystkie okropności wojny i zbrodnie faszyzmu. Po powrocie do domu nie chce pogodzić się ze stosunkami panującymi w Ameryce, zdecydowany jest przeciwstawić się rasistowskiej nagonce rozpętanej w Stanach przez faszystów spod znaku „American Legion”. Najbardziej wymownym fragmentem filmu jest scena, gdy w małym barze spotykają się trzej towarzysze walk: Cliff, jego przyjaciel Bill (Robert Mitchum) i Perry (Bill Williams). Przy sąsiednim stoliku siedzi samotnie Murzyn w mundurze armii amerykańskiej. W pewnej chwili do stolika zbliża się grupa trzech typowych Amerykanów, którzy proponują Cliffowi i jego przyjaciółom wstąpienie do „patriotycznej organizacji zdemobilizowanych żołnierzy, organizacji, w której nie bę-

dzie miejsca ani dla Żydów, ani dla negrów, ani dla katolików”. (O komunistach jeszcze się wówczas nie mówiło w filmach amerykańskich).

W odpowiedzi na propozycję Bill mówi spokojnie: „Słuchajcie, miałem przyjaciela Żyda, który zginął w Gwadalcanal. Naplułby on wam w oczy, a ponieważ ja go nie ma, robię to ja”. Wywiązuje się bójka, w czasie której trzej przyjaciele razem z żołnierzem — Murzynem dają należyty odprawę faszystowskiemu prowokatorowi.

Ostatni to był film, w którym Dmytryk miał odwagę mówić prawdę o stosunkach panujących w Ameryce. Jesienią 1947 roku rozpoczął się w Hollywood proces wytoczony przez osławioną Komisję do Badania Działalności Antyamerykańskiej „dziesięciu z Hollywood”. (Jedenastym był Lewis Milestone, którego sprawa z powodu choroby została odroczona, a potem nie była wzięta pod uwagę). Wszyscy oni oskarżeni zostali o działalność komunistyczną. W imieniu oskarżonych odpowiedział Albert Maltz, który stwierdził, że pytanie o przynależność partyjną sprzeczne jest z konstytucją amerykańską. „Wolę umrzeć — powiedział Maltz — aniżeli być Amerykaninem o duszy pacholka, który czołga się przed ludźmi o nazwiskach Thomas i Rankin, robiącymi teraz w Ameryce to samo, co robili w Niemczech Goebbels i Himmler. Naród amerykański będzie musiał wybrać między Bill of Rights a Komitetem. Albo jedno, albo drugie będzie musiało przestać istnieć”.

Ani w czasie procesu, ani w czasie uwięzienia, ani potem, gdy bezskutecznie usiłowali uzyskać pracę w swoim zawodzie, żaden z oskarżonych nie załamał się, nie wyparł się swoich postępowych przekonań. Żaden — z wyjątkiem Dmytryka, który po sześciu miesiącach więzienia podpisał deklarację lojalności. Dzisiaj Dmytryk jest jednym z tych, którzy kierują w Hollywood „psychologicznym” przygotowaniem narodu amerykańskiego do nowej wojny.

„KREW NA EKRANIE”

Agresja amerykańska w Korei, która „zimną wojnę” Departamentu Stanu przekształciła w „gorącą wojnę” strategów z Pentagonu, stanowi nowy etap w „wojennej karierze” Hollywood. Do najbardziej typowych filmów tej nowej ery należy „Iwojima”, film, który stanowi apoteozę amerykańskiego supermana, w tym wypadku — „sierżanta z żelaza”, John Wayne. Ten „stuprocentowy Amerykanin” to uosobienie mitów i ideałów „Legionu Amerykańskiego”. John Wayne nie myśli, nie zastanawia się nad swoimi czynami, on tylko posłusznie i dokładnie wykonuje rozkazy swoich oficerów. W stosunku do podwładnych jest bezwzględny; dla pobitych nie zna litości; wierność i posłuszeństwo bezgraniczne cechuje go jedynie wobec przełożonych. „Sierżant z żelaza” nie lęka się żadnych trudów ani niebezpieczeństw: kule się go nie imają. Ale bohater amerykańskiego filmu musi być „dobry”. Toteż Wayne jest przy-

kładnym ojcem rodziny (delikatna żona i czarujące dzieci), a walka jego otoczona jest welonem „romantyzmu”, w najbardziej łzawym, sentymentalnym wydaniu.

Początek roku 1951 przyniósł wzmożenie wojennej hysterii w Hollywood. Ukazują się takie filmy jak „Spotkanie na 38 równoleżniku”, „Korea w płomieniach”, „Złota lawina”, „Synowie sławy”, „Operacja Z”. Nie warto tu analizować wszystkich tych filmów, narzędzi psychologicznego przygotowania narodu amerykańskiego do roli bezmyślnych morderców, dla których jedynym celem jest niszczyć, grabić i zabijać.

Dla zapoznania się z rodzajem tych filmów wystarczy zatrzymać się na jednym z nich: „Złota lawina”. W czasie walki młody, 18-letni żołnierz amerykański zabija serią z karabinu maszynowego chińskiego ochotnika, walczącego w Korei. Ale zabójstwo przeciwnika nie wystarczy mu. W napadzie histerycznej furii żołnierz amerykański masakruje leżące na ziemi zwłoki i uspokaja się dopiero, gdy wyczerpał cały magazyn swojego automatu. Przypatrujący się temu pułkownik amerykański zawiesza na piersi żołnierza-zbrojeńca wysokie odznaczenie wojskowe i w dowód uznania mianuje go kapralem.

W rozpaczliwej pogoni za dość sensacyjnym tematem filmowcy z Hollywood sięgają do hitlerowskiej przeszłości. Obok filmu o Rommle i „smutnym losie” SS-manów z przybocznej gwardii Hitlera („Pułk straceńców”) na ekrany „wolnego świata” weszły ostatnio filmy następujące: „Uważaj marynarzu!” (o załodze hitlerowskiej łodzi podwodnej w pobliżu brzegów Ameryki Południowej), „Potwór drugiej kompanii” (o Waffen-SS), „Starzy towarzysze”. Obok tego „Fredericus Rex” (o Wielkim Frycu) i „My z cesarsko-królewskiego regimentu piechoty” („historyczny” film o habsburskim pułku piechoty).

Obecna produkcja Hollywood to „prawdziwe” filmy wojenne w krwawo-czerwonym technicolorze. To „Bohater z Mindanao”, pływający się w strumieniach krwi japońskich żołnierzy; to „Potwór garnizonu”, „Matka kompanii”, „Oddział śmierci” itp. Ale, jak podkreślają producenci „krwi na ekranie”, propaganda wojenna nie znajduje „zbytu”. Nie tylko w Europie Zachodniej, ale i w Stanach Zjednoczonych kina, które wyświetlają filmy wojenne świecą pustkami. Bowiem naród amerykański w swej większości nie chce wojny, nie chce zabijać i nie chce być zabijany. Jak pisał ostatnio Dalton Trumbo pod adresem władców Hollywood: „Zapamiętajcie sobie dobrze — nie chcemy ulec zagładzie... Jesteśmy ludźmi, którzy chcą pokoju, którzy pracują i nie szukają zwady. Ale jeśli zechcecie zburzyć pokój, jeśli spróbujecie zniszczyć nasz dorobek i pchnąć jednych ludzi przeciwko drugim, będziemy wiedzieli co należy zrobić. Wiemy, że naszemu życiu nie zagraża niebezpieczeństwo z zewnątrz. Wiemy, że wrogowie są wśród nas, za naszymi liniami”.



„CZARODZIEJ GLINKA”

MICHAŁ GLINKA był nieco młodszym od Moniuszki, ale losy ich były podobne. Spełniały się w tym samym czasie i w tych samych warunkach. Moniuszko chciał uwolnić polską muzykę spod obcych wpływów i stworzyć polską narodową operę. O analogiczne cele walczył Glinka w Rosji. Obaj kompozytorzy mieli wspólnego wroga: cara. Glinka dostąpił jednak wyższego „zaszczytu”. Car osobiście podjął się roli jego cenzora i własnoręcznie raczył zmienić tytuł opery „Iwan Susanin” na „Życie za cara”. „Halke” gnębili już tylko warszawscy przedstawiciele caratu wespół z miejscową reakcją. Obu wielkich kompozytorów łączyła przyjaźń, ułatwiona dłuższym pobytem Glinki w Warszawie i parokrotnymi wyjazdami Moniuszki do Rosji. Wreszcie, w stosunku do obydwóch carat jednak przegrał. Glinka, autor „Iwana Susanina” i „Rusłana i Ludmiły” stał się ojcem narodowej opery rosyjskiej, a Moniuszko — ojcem narodowej opery polskiej. Glinka wszakże pochodził z zamożniejszej rodziny i podczas gdy Moniuszko wiódł przez bez mała dwadzieścia lat szare życie w prowincjonalnym Wilnie, Glinka podróżował po Niemczech, Włoszech, Francji i Hiszpanii. Stąd biografia jego jest barwniejsza.

Pisząc sprawozdanie z ostatniego radzieckiego filmu o Glince, nie wiadomo od czego zacząć. Równie niezdeterminowany deliberuje samkosz nad pysznie zastawionym stołem.

Najważniejsza będzie jednak chyba sprawa rodowodu społecznego muzyki Glinki. Jako współautor scenariusza do filmu „Warszawska premiera”, muszę uderzyć się w pierś: nie potrafiliśmy tego opracować równie dobrze w stosunku do Moniuszki. Radzieccy autorzy scenariusza pokazali przekrój ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego nie tylko w sposób pełny, ale i niezmiernie interesujący. Obok salonów petersburskich jest i rosyjska wieś, i rosyjskie małe miasteczka i praca rosyjskiego robotnika. Widz ma przedstawione jak na dłoni wszystkie źródła, z których czerpał Glinka natchnienie. Widzi też procesy społeczne, które wpłynęły na ukształtowanie się ideologii artystycznej kompozytora.

Film o Glince jest kolorowy. To mogło być progiem klęski, a stało się jednym z głównych powodów sukcesu. W dziedzinach sztuki, nie będących moją specjalnością, lubię mieć potwierdzenie opinii fachowców. Ucieszyłem się przede wszystkim, gdy na pokazie „Czarodzieja Glinki” znalazłem się obok jednego z naszych wybitnych malarzy. Obaj byliśmy zgodni, że rozpoczynając film sceny ze sławnej powodzi w roku 1828 w Petersburgu, kolorystycznie warto są umieszczać obok płócien Ajwazowskiego. Nocne sceny z Wenecji mają w sobie ciepło sta-



Michał Glinka przy pulpicie dyrygenckim, podczas jednej z pierwszych prób znanej opery „Ruslan i Ludmiła”.

rych malatur na porcelanie, a sceny jarmarczne w jednym z rosyjskich miasteczek grają pełnią kolorów nie mniej pyszną, niż najlepsze malarstwo rodzajowe tego typu. Słabe kolorystycznie są tylko sceny z petersburskich salonów i zimowe pejzaże Rosji. Atrakcyjność kolorów podnoszą w filmie bajecznie bogate i różnorodne dekoracje. Oślawione ongiś filmy amerykańskie dystansowane są tu rozmachem i — przede wszystkim — smakiem artystycznym.

Aktorzy doskona! Nie tylko wykonawcy ról czołowych, ale i ubocznych, jak znakomity w grze i masce odtwórca Puszki (L. Durasow), jak odtwórca Gribojedowa, Gogola, Dargomyżskiego. Nienajlepiej natomiast pokazany został Liszt, gorzej niż Paganini w naszej „Młodości Chopina”. Samego Glinkę znakomicie gra Borys Smirnow.

Na zakończenie zachowałem sobie oświadczenie najważniejszego — muzyki. Autorzy scenariusza i reżyser G. Aleksandrow, wyszli ze słusznego założenia, iż muzyka w tym filmie nie może być ilustracją, lecz wpływać musi z przebiegu akcji filmowej. To mogło być ilość muzyki ograniczyć, gdyby nie — pomysłowość reżyserska. Zatrzymam się tylko przy jednym, dla przykładu. Glinka stoi przy pulpicie, kończąc pisać partyturę „Rusłana i Ludmiły”. Ktoś dzwoni do drzwi. To przyszedł któryś z przyjaciół. Podniecony kompozytor prowadzi gościa do pulpitu i daje mu powiększające szkło, aby mógł łatwiej czytać rękopis partytury. W chwili, gdy przyrękopis partytury, w miarę przewracania kart rękopisu, słyszymy — wraz z czytającym — pełną treść muzyczną opery, z głosami solistów i chóru. Wspaniały pomysł, a dla nas niezapomniane artystyczne przeżycie!

Oryginalny tytuł filmu brzmi: „Kompozytor Glinka”. Polski tytuł: „Czarodziej Glinka”. Nie jestem jednak pewien, czy słusznie. Glinka nie był „czarodziejem” — był wielkim muzykiem. To wystarcza.

Największy film radziecki jest wielkim filmem o wielkim kompozytorze.

JERZY WALDORFF

z HISTORII FILMU

PRZED 40 LATY—FILM DUŃSKI KRÓLOWAŁ NA EKRAKACH...

MŁODZI kinomani kojarzą duńską kinematografię z niedawno wyświetlaną na naszych ekranach „Dittą”. Ich rodzice pamiętają prawdopodobnie z lat przedwojennych duńskich komików Pata i Patachona. No, a dziadkom słowa „film duński” przypomina na pewno Astę Nielsen, zwaną illo tempore — „Eleonorą Duse ekranu”.

Asta Nielsen we wrześniu br. skończyła siedemdziesiąt. Od dawna już przestała grać w filmie i żyje dziś na odludziu, w mieszkaniu pełnym pamiątek z dawnych lat, lat sławy i międzynarodowych triumfów. W roku 1913 w Warszawie, Moskwie, Berlinie czy w Wiedniu, najbardziej popularne, z utęsknieniem przez publiczność wyciekowane filmy — to obrazy wytwórni „Nordisk” z Kopenhagi, czy jej rywali — „Kinografen” i „Denmark”. Zwłaszcza biały niedźwiedź na tle ziemskiego globu, znak fabryczny „Nordisk” — dobrze jest znany europejskim, a nawet i amerykańskim widzom. W przeciągu sześciu miesięcy na przełomie 1912 i 1913 roku berlińska ekspozycja wytwórni wpłaciła do centrali półtora miliona koron czystego zysku, sumę przekraczającą wielokrotnie kapitał zakładowy przedsiębiorstwa. W r. 1913 wytwórnia „Nordisk” produkuje 370 filmów długometrażowych! Cyfra to ogromna, kraj bowiem liczy 3 i pół miliona mieszkańców i posiada niewiele ponad 300 kin.

Niezwykły swój rozwój zawdzięcza kinematografia duńska eksportowi za granicę, zwłaszcza do krajów środkowej i wschodniej Europy. W Rosji i w Niemczech duńskie filmy mają na rynku bezkonkurencyjną pozycję. Burzący publiczność, która w tym okresie, po latach bojkotu, zaczyna interesować się kinem, znajduje w repertuarze filmowym z Kopenhagi wymarzoną duchową strawę. Duńczycy tworzą widowisko kinowe doskonale odpowiadające gustom mieszczańskiego widza, rozmówanego w dekadentycznej, psychologizującej literaturze w jej niezbyt skomplikowanej, bulwarowej formie. Czołowy reżyser duński, Urban Gad, widział misję kina w ucieczce od szarej i prozaicznej rzeczywistości. Sklepiarkom i drobnym urzędnikom pokazywał film duński inny, romantyczny świat. „Wszyscy bohaterzy duńskich filmów — pisał w r. 1913 jeden z krytyków filmowych — są milionerami posiadającymi pałace i kamerdynerów. A czasem są to apasze, którzy co dziesięć minut popełniają zbrodnię”. W filmach „problemowych” i w salonowych melodramach pokazywali realizatorów bohaterów beznadziejnie uwikłanych w splecie miłosnych konfliktów. Zabójstwa i samobójstwa kładły kres życiowej wędrówce zarówno pierwszych wampów ekranu, jak i czarujących uwodzicieli, zdobywców serc. Ileż to młodszych i starszych



Asta Nielsen w filmie sprzed 40 lat.

pań kochało się bez pamięci w pięknym Waldemarze Psylandrze, zwanym na terenie imperium rosyjskiego — Garri-sonem, czy w Olafie Foenssie. A o Aście Nielsen pisał z zachwytem poeta Guillaume Appolinaire, że „jest wszystkim — wizją pijaka i marzeniem samotnego mężczyzny”.

Film duński przy swych wszystkich dekadentkich obciążeniach odznaczał się, jak na owe czasy — staranną reżyserią i interesującymi kreacjami aktor-skimi. Od chwili swego powstania związany z dobrymi tradycjami teatralnymi, potrafił — bodajże pierwszy na świecie — wprowadzić na ekran świat domowych swych zadań aktorów — artystów. Asta Nielsen umiała wyrazić mimiką i gestem bogactwo wewnętrznych przeżyć. Jej ekranowe sukcesy były owocem długich przygotowań, starannego studiowania roli, ze specjalnym uwzględnieniem drobnych nieraz, zewnętrznych szczegółów kostiumu, charakterystyki czy rekwizytu, które podbudowywały odtwarzaną w filmie postać. Tak samo solidnie przygotowywał się do występów na ekranie — Waldemar Psylander, przedwcześnie zmarły w roku 1917.

Sukcesy filmu duńskiego nie pozwoliły spać spokojnie jego konkurentom. Niemiecka wytwórnia „Union Film” porwała do Berlina obietnicą ogromnej gazy — Astę Nielsen. Równocześnie kapitał niemiecki zaczynał przenikać do duńskich wytwórni filmowych. Podczas I wojny światowej Rosja i Francja nie zezwalały na wyświetlanie obrazów duńskich, jako związanych z obozem wroga. Nowa niemiecka wytwórnia „Ufa” zagarnia biura wynajmu i kina firmy „Nordisk” na terenie Niemiec. W r. 1918 krótki okres sławy i międzynarodowych sukcesów duńskiej kinematografii należy do bezpowrotnej przeszłości. Znakomici duńscy aktorzy i reżyserzy rozprzeczli się po świecie. W Kopenhadze przez długie lata sztandar filmowej produkcji (nie sztuki) dzierżą komicy — długi i chudy Pat i mały i gruby Patachon...

JERZY TOEPLITZ



Michał Glinka (L. Smirnow) i jego siostra (L. Orlowa).



Taniec chłopski na jarmarku w rosyjskim miasteczku.



Glinka gra jeden ze swych utworów przyjaciółom.

TEATR SWIAT

Dyrekcja: IAN SZELĄG
Dekoracje i kostiumy: MA-GA

Tadeusz Polanowski

PIERWSZY DZIEŃ EISENHOWERA

Obrazek w jednym akcie

Uwaga widzowie: wszystkie napisane w tekście kursywą zdania wypowiedziane przez Eisenhowera są dosłownymi cytatami z inauguracyjnego przemówienia nowego prezydenta USA.

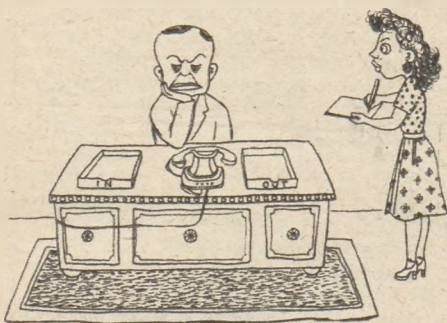
Osoby: Eisenhower — E
Sekretarka — S
Adiutant — A

S — Panie prezydencie, miał mi pan podyktować orędzie do narodów świata.

E — Tak, tak, ale czy narody nie mogłyby jeszcze trochę poczękać. Tyle mam teraz spraw na głowie...

S — Panie prezydencie, narody jak narody, ale ci dziennikarze są strasznie niecierpliwi. Od rana szturmują do Białego Domu i domagają się tekstu.

E — A co oni sobie myślą? Że orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych to jakiś artykuł? A zresztą niech pani pisze, Zobaczmy co z tego wyjdzie.



(Dyktuje). — Los złożył na Stany Zjednoczone obowiązek przewodniczenia wolnemu światu. Najwyższym naszym celem jest zapewnienie pokoju...

A — (Wchodzi). Panie prezydencie, generał Guderian i inni doradcy naszego sztabu stawili się dla przedyskutowania ostatnich planów...

E — Przyjmę ich o dwunastej.

A — Ale na dwunastą pan prezydent wyznaczył konferencję z wysłannikami Czang Kai-szeka w sprawie użycia ich wojsk...

E — Przyjmę ich wszystkich razem, niech się tymczasem podzielą doświadczeniami z Guderianem. (Do sekretarki). Na czym skończyliśmy?

S — Najwyższym naszym celem jest zapewnienie pokoju...

E — Tak, zapewnienie pokoju w Azji, w Europie i na całym świecie. Kropka. Najwyższym celem wszystkich wolnych ludzi i zadaniem ich przywódców musi być uratowanie ludzkości przed zniszczeniem samej siebie. A propos, niech mi pani przypomni jutro o sprawie nowych kredytów na budowę bomby wodorowej. Diabło kosztowna impreza i żeby choć z niej jakiś pożytek. Na czym skończyliśmy?

S — ...uratowanie ludzkości przed zniszczeniem samej siebie.

E — ...samej siebie. Kropka. Czas próby przypada na epokę, kiedy człowiek zyskał moc czynienia dobra i sprowadzania zła, które przekraczają najjaśniejsze nadzieje i najczarniejsze obawy wszystkich wieków. Cofają się choroby, a życie ludzkie się przedłuża.

(Dzwoni telefon).

S — Hallo! Pan prezydent jest teraz bardzo zajęty. Tak, tak, zaraz się dowiem. Panie prezydencie, sztab chemiczny armii pyta, czy ma wykonać bez zmian ostatni rozkaz prezydenta Trumana i wysłać na Koreę nowy transport zadżumionych pcheł.

E — Durnie! Ciągłe te pchły, cały świat już krzyczy o tych pchłach. Niech wysła zadżumione pajaki. Pajaki przynoszą szczęście.

S — (Do telefonu): Macie wysłać zadżumione pajaki. (Wracając do dyktanda) ...A życie ludzkie się przedłuża.

E — Tak, kropka. A jednak zawartej w tym obietnicy zagraża ten sam ludzki geniusz, który obietnicę tę umożliwił. Dobre, co? Ludzki geniusz. Ludzie lubią ten styl, prawda? Prezydent USA to rzeczywiście geniusz: musi być karnością, filozofem... a wójenkę też umie się robić. (Z powagą). Wojna to wspaniała gra.

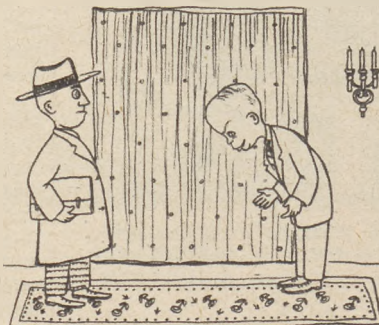
S — (Powtarza, zapisując)... wspaniała gra.

E — Co też pani? Proszę to przekreślić. Dyktuję dalej. W takiej oto chwili dziejowej my, ludzie wolni, musimy ponowić nasze wyznanie wiary. Jest to wiara naszych ojców, wiara w nieśmiertelną godność człowieka... Co to za hałas? Niech pani wyjrzy przez okno.

S — Ach, to drobiazg. Policjanci rozpędzają tych przeklętych manifestantów, którzy sterczą tu od tygodni z napisami: „Rosenber-

gowie są niewinni“, „Ułaskawić Rosenberga“. Dobrze im tak, Niech sobie krzyczą.

E — Przypomni mi pani jutro, że mam odrzucić podanie o łaskę. Dyktuję dalej. Łaska Opatrzności jest nam szczególnie potrzebna dziś, kiedy wolność zmagą się z niewolą, światło z ciemnością. Ta sama wiara wolnych ludzi ożywia żołnierza francuskiego, który pada w Indochinach, żołnierza brytyjskiego, który ginie na Malajach, chłopca z Ameryki, który oddaje życie w Korei. Niech pani zapisze, aby przypomnieć generałowi Bradleyowi, że zdezercja w kraju i na froncie trzeba się roz-



prawić stanowczo. Tworzyć bataliony karne i wysłać na najgorsze odcinki frontu. Na czym skończyliśmy?

S — Na Korei, panie prezydencie.

E — Tak, Korea. Respektując odrębność i dziedzictwo każdego państwa w świecie, nigdy nie użyjemy naszej siły w próbie narzucenia innemu narodowi naszego ustroju społecznego i gospodarczego.

(Dzwoni telefon).

S — Pan prezydent jest zajęty i nie... Ach, szef FBI, w tej chwili proszę.

E — Słucham cię, mój stary. Co takiego? Zlinczowano Murzyna, który zabił z białą dziewczyną na wczorajszym festynie? Jak mogliście do tego dopuścić? Przecież zabawy były za biletem, tylko dla białych. (Odkłada słuchawkę). Tak, przypomniał mi w samą porę. Niech pani pisze: Szanujemy i respektujemy na równi wszystkie kontynenty i narody, odrzucamy wszelkie insynuacje, jakoby inne rasy czy inne narody były w jakimkolwiek sensie niższe i mniej wartościowe.

A — (Wchodzi). Panie prezydencie, przyszedł Mr. Wilson.

E — Nie mam teraz czasu dla ministrów.

A — Ale Mr. Wilson przyszedł jako prezes „General Motors“.

E — A, to prosić, prosić!...

KURTYNA

NOWE KSIĄŻKI

Na rynku księgarskim ukazało się ostatnio kilka cennych publikacji dzieł klasyków polskich. Ogromna pieczołowitość w opracowaniu tekstów i staranność szaty graficznej świadczą o głębokiej trosce wydawnictwa, by te cenne dzieła naszej literatury miały godną ich oprawę; świadczą o pietetyzmie, jakim ludowe państwo otacza trwałe, postępowe wartości narodowej kultury.

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego wydano „Dzieła Polskie“ Jana Kochanowskiego w dwu tomach ze wstępem i przypisami Juliana Krzyżanowskiego (t. I — 371 str. + 1 nłb., t. II — 431 str. + 1 nłb.). Publikacja ta zawiera niemal całą rozległą twórczość Kochanowskiego, wyjąwszy „Psalterz Dawidowy“ i „Fenomeny“ — umieszczone w wyjątkach.

Obszerny wstęp Juliana Krzyżanowskiego zapoznaje z życiem i twórczością Jana z Czarnolasu, w prosty i przystępny sposób zbliża czytelnikowi te wartości jego dzieła, które sprawiają, że wielki poeta jest nam dzisiaj szczegó-

nie bliski. Należy tylko założyć, iż autor wstępu nie dał obszerniejszej analizy bujnej, wspaniałej epoki polskiego Renesansu, epoki, w której żył i tworzył Kochanowski.

Przypisy i komentarze do „Dzieł Polskich“ zredagowane są jasno i przejrzysto, pozwalając nawet mało przygotowanemu czytelnikowi na pełne zrozumienie tekstu. Z dużym uznaniem należy wyrazić się o graficznej oprawie książki, którą zdobią liczne interesujące reprodukcje pierwodruków utworów Kochanowskiego oraz reprodukcje rycin i drzeworytów.

Wydawnictwo „Książka Wiedza“ wydało „Satyrę“ Ignacego Krasickiego ze wstępem Jana Kotta, z przypisami i opracowaniem tekstu Feliksa Przyłubskiego (str. 92 + 2 nłb.).

Zwizła, ale wyczerpująca przedmowa Kotta, napisana barwnie i ciekawie, ukazuje twórczość Krasickiego na tle epoki Oświecenia, podkreślając polityczny, obyczajowy i społeczny sens celnej satyry

Droży Czytelnicy!

Jeden z nadesłanych ostatnio do redakcji listów przypomniał nam, że skończył się już karnawał, a ponieważ nic na ten temat nie mamy do powiedzenia od siebie — oddajemy głos naszemu Czytelnikowi:

„Może to się wydać ob. Redaktorowi trochę i dziwne — pisze ob. J. Staniszewski — że w liście poruszam dość bląhą sprawę ubiegłego niedawno karnawału, ale może uda mi się jednak w toku moich uwag przekonać ob. Redaktora, że warto było się nią zająć.

Z racji pełnionych przeze mnie funkcji w spółdzielni wydawniczej, jestem bardzo często w terenie, odwiedzam większe i mniejsze miasta Polski. Właśnie w czasie tych wędrówek, na podstawie własnej obserwacji jak i rozmów z kolegami, mogłem stwierdzić fakt wyraźnej zmiany stylu zabaw. Zapraszano mnie na wieczorki urządzone w placówkach naszego wydawnictwa przez młodzież pracującą i przez miejscowe rady zakładowe. I przy tej okazji właśnie stwierdziłem, że naprawdę te wesołe spotkania młodych i starszych odbywają się w sposób, który pozwala sądzić, że zerwali się z stylem zabaw lat międzywojennych, odbywających się pod znakiem opilstwa i żenującej swawoli.

Nie jestem oczywiście ślepym optymistą i wiem, że jeszcze pokutują u nas gdzieś smutne pozostałości okresu okupacji i powojennego „wyżycia się“. Wydaje mi się jednak, że jesteśmy już całkowicie na dobrej drodze uszlachetnienia form naszych zabaw, że mądra akcja zwalczania alkoholizmu, piętnowanie wybryków chuligaństwa i zwalczanie wszelkiego rodzaju biki-niarstwa, deprawującego w konsekwencji naszą młodzież (o tę deprawację chodzi przecież naszym wrogiom!) — przynosi już widoczne rezultaty. A to nie jest sprawa mało ważna czy marginesowa. Bo właśnie od zdrowia moralnego i fizycznego naszej młodzieży zależy nasza przyszłość, nasz rozwój, nasze wyniki na wszystkich etapach budownictwa socjalistycznego.

Dlatego też, ob. Redaktorze, pozwoliłem sobie napisać ten list, jako pochwałę ubiegłego karnawału. Było w tym czasie na pewno mniej awantur i przykrych wybryków, mniej nadużywania alkoholu — a za to więcej wesołej, młodzieńczej, beztroskiej zabawy. I to jest znamieny znak naszych czasów, naszego stylu życia również i w tej dziedzinie, której nie należy wyłączać z pola widzenia.

P. S. Pączki w „tłusty czwartek“ smakowały mi znakomicie. A ob. Redaktorowi?“

Bardzo nam smakowały, Drogi Czytelniku! Przypada nam również do smaku ten styl zabawy, o której tak rozsądnie piszecie w swoim liście.

„SWIAT“

tego „syna rozumnego wie-

ku“.

„Satyrę“ wydane są nadzwyczaj starannie na pięknym papierze, w dużym formacie i w sztywnej okładce. Urzekają pięknymi ilustracjami Jana Marcina Szancera, dowcipnymi i soczystymi w kolorze. Książka stanie się bez wątpienia ozdobą każdego księgo-

mację o czasie, miejscu i okolicznościach towarzyszących powstawaniu poszczególnych dzieł oraz tłumaczącymi trudniejsze fragmenty.

Wstęp Kazimierza Wyki daje nową, naukową analizę twórczości Juliusza Słowackiego. Praca Wyki, mimo iż jest niewątpliwie rozprawą naukową wysokiej klasy, napisana jest interesująco, językiem dostępnym dla przeciętnego czytelnika.

„Dzieła“ Słowackiego wydane w estetycznej, pięknej oprawie.

Ukazanie się 14 tomów „Dzieł“ Słowackiego stanowi nie tylko dumę wydawnictwa; jest to powód do radości i dumy całego społeczeństwa, które doczekało się wreszcie czasów, kiedy pomniki dawnej kultury i sztuki stają się własnością powszechną.

Dowodem na to jest także ukazanie się kolejnego X tomu Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza, które to pomnikowe wydawnictwo powołano do życia mocą uchwały KRN z dn. 5 maja 1945 r.

Tom X obejmuje Kurs II Literatury Słowiańskiej.

H. W.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.80, kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna zł 57.60.

Zakłady Wileńskie i Introligatorskie RSW „Prasa“
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 74. Papier rotogr. V/50—82 cm. — 4-B-13102

LENGREN

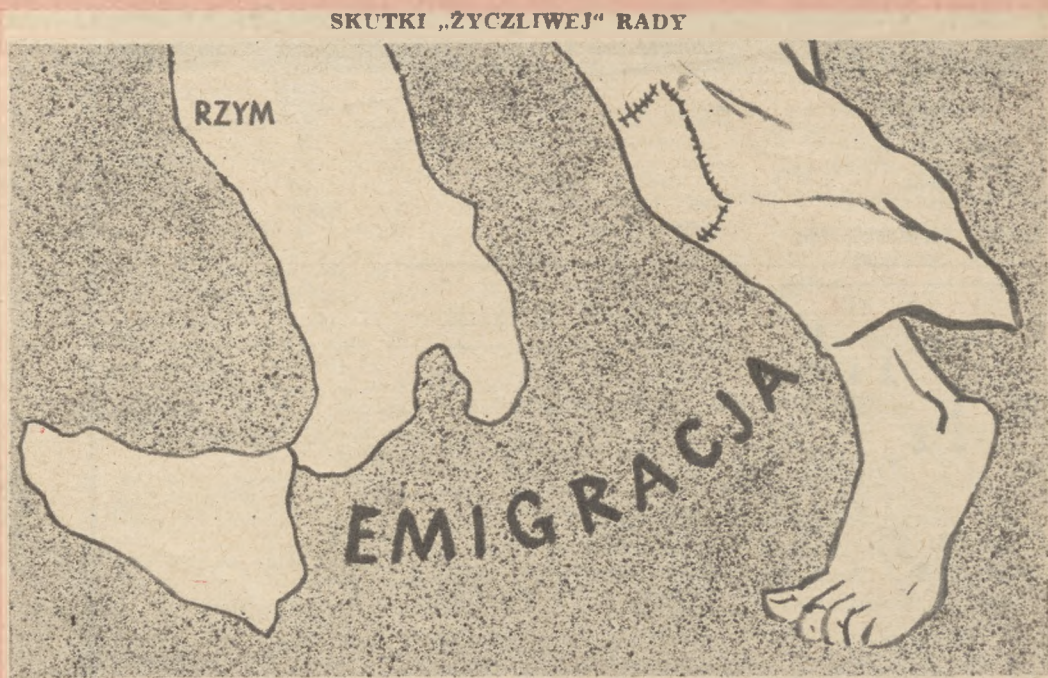


FANTAZJA



MELINA DYWERSJI

Rys. St. Wielgus

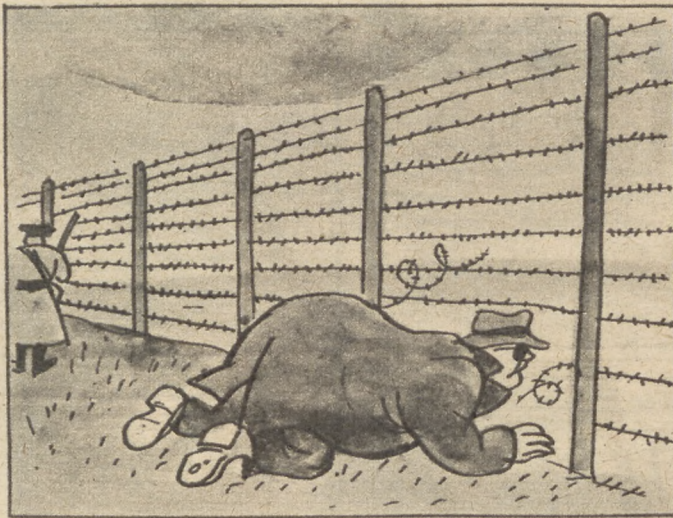
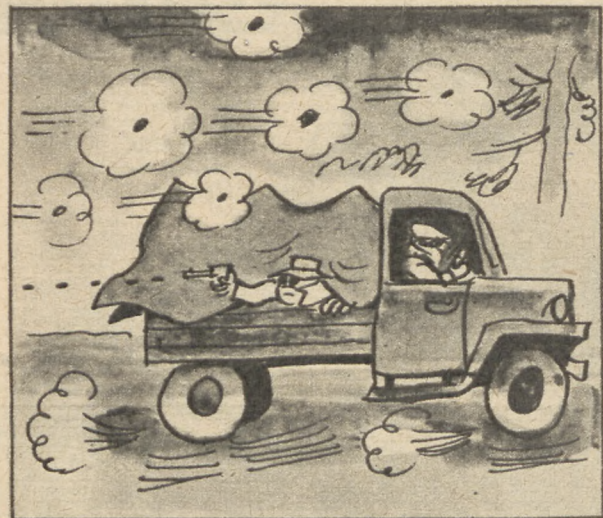


Z prasy: Premier De Gasperi zaleca bezrobotnym Włochom emigrację z kraju

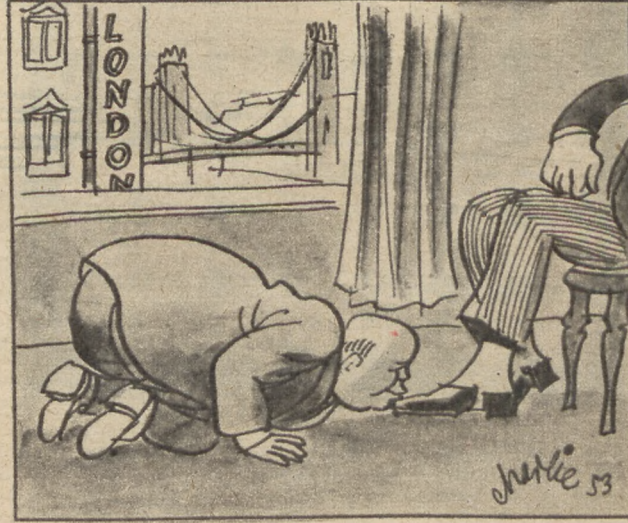
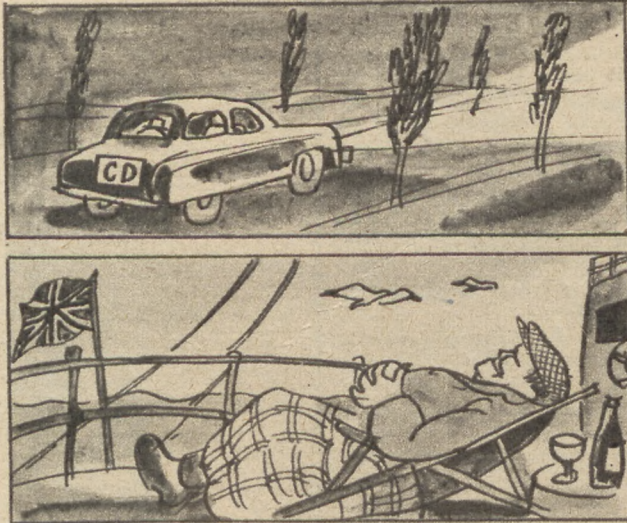
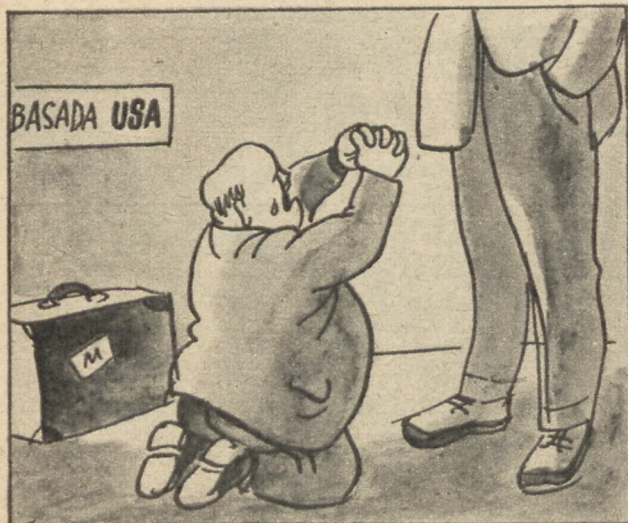
Rys. St. Wielgus

MIKOCOMICS

FANTAZJA...



...I RZECZYWISTOŚĆ



Rys. K. Forster

B. ambasador amerykański w Warszawie, Stanton Griffis, ujawnił w swych pamiętnikach, w jaki sposób zorganizował ucieczkę Mikołajczyka z Polski. Dygnitarz amerykański gruntownie ośmieszył Mikołajczyka, który w swoim czasie podał fantastyczny opis swej ucieczki.